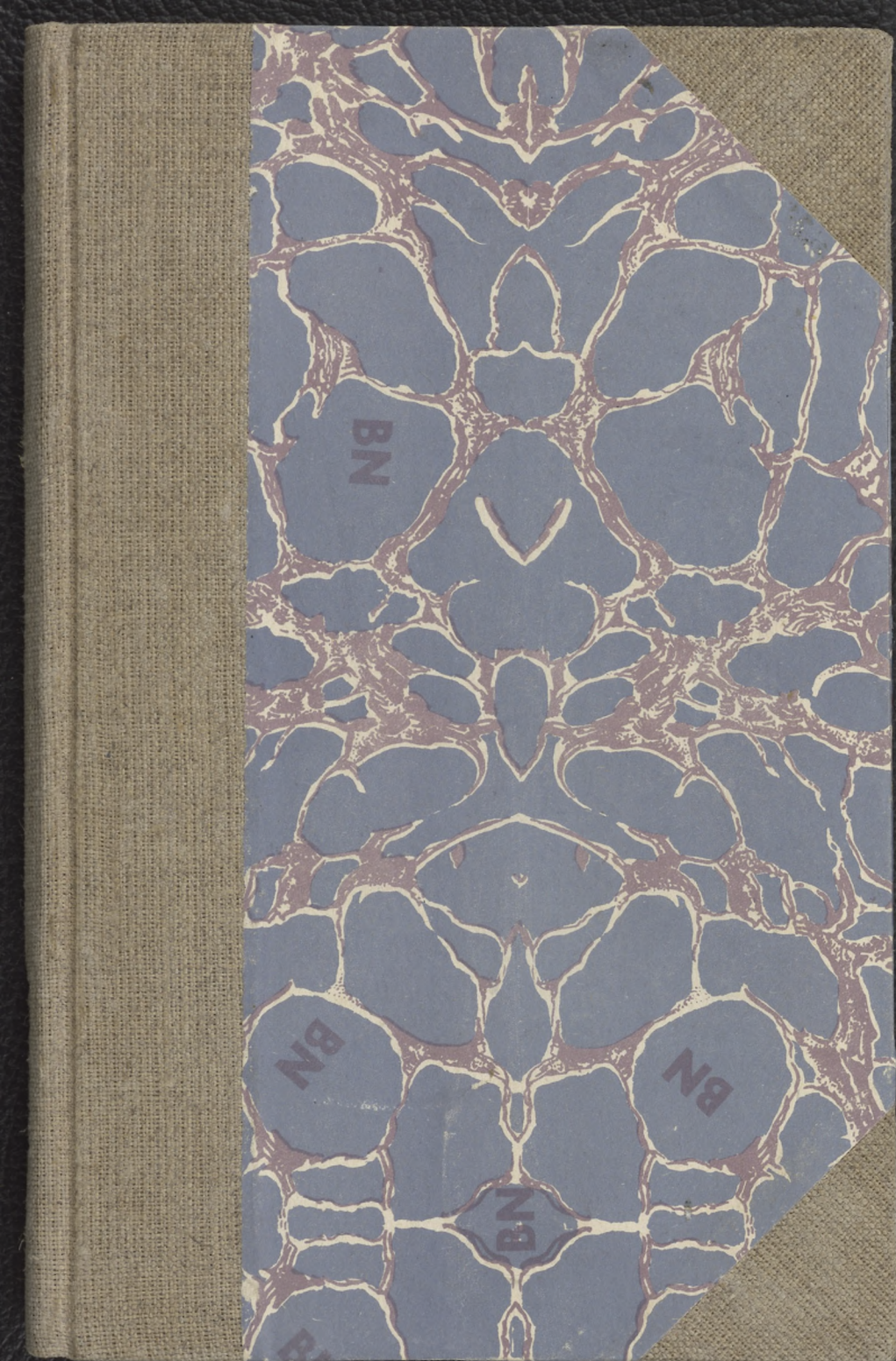
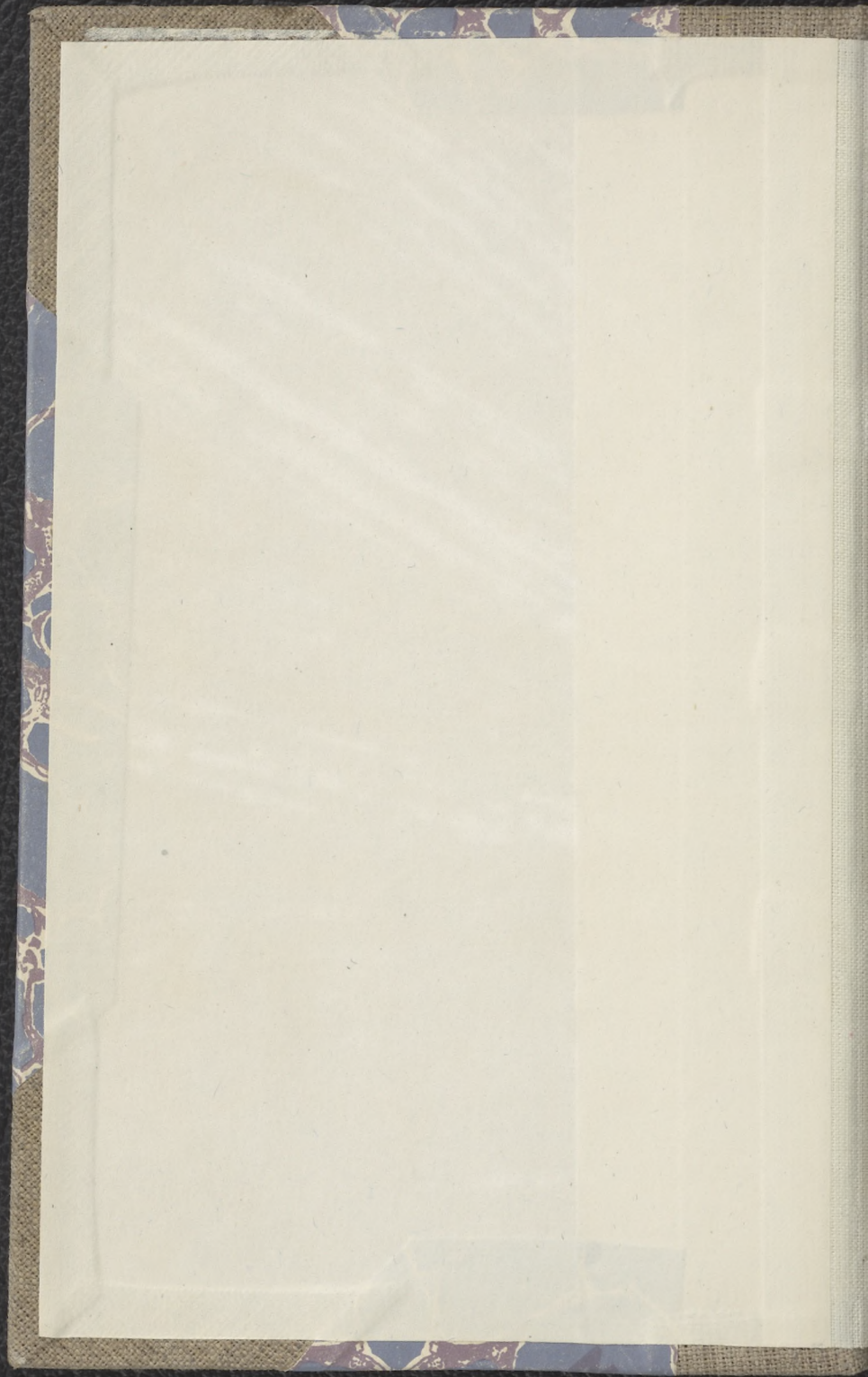
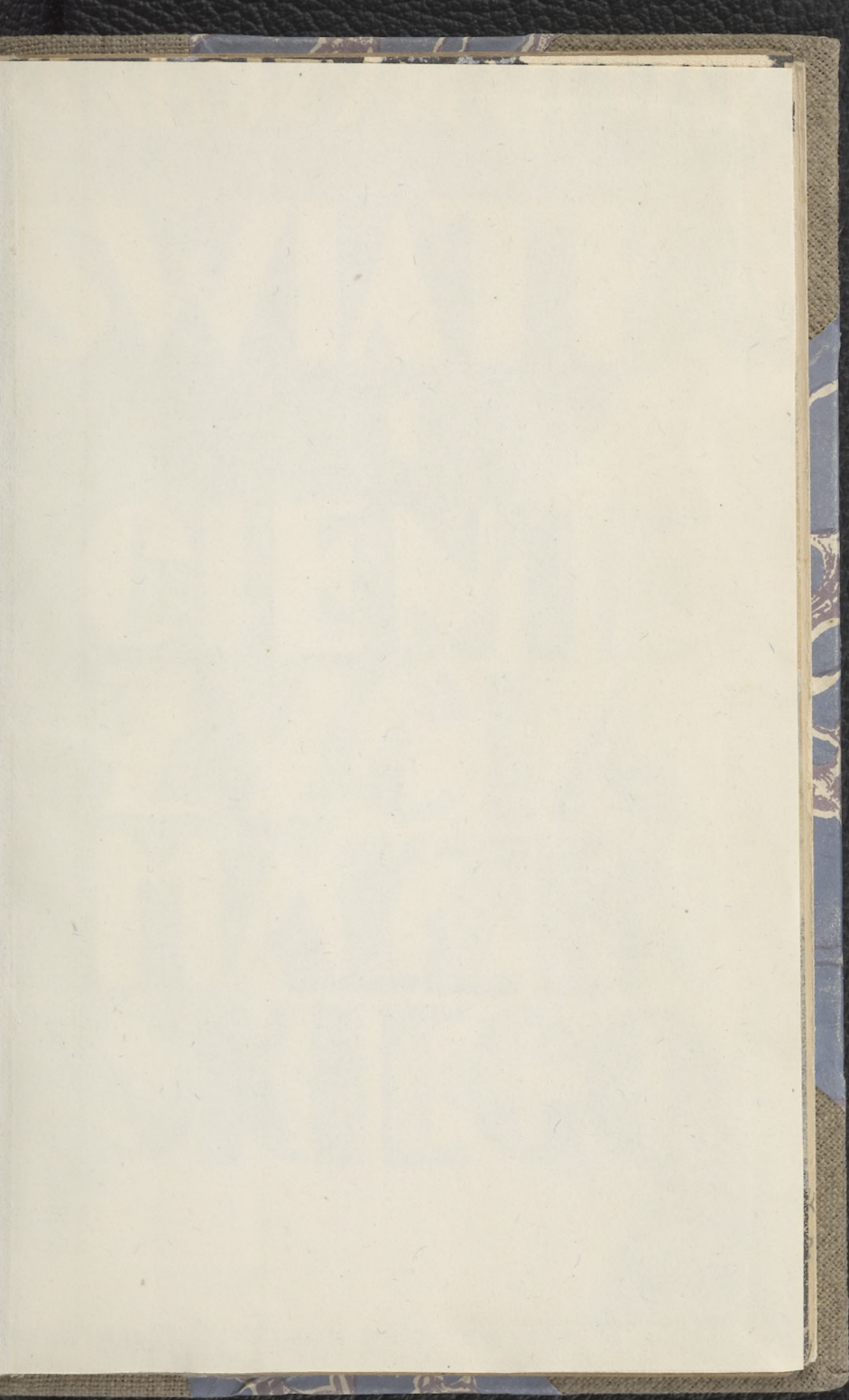
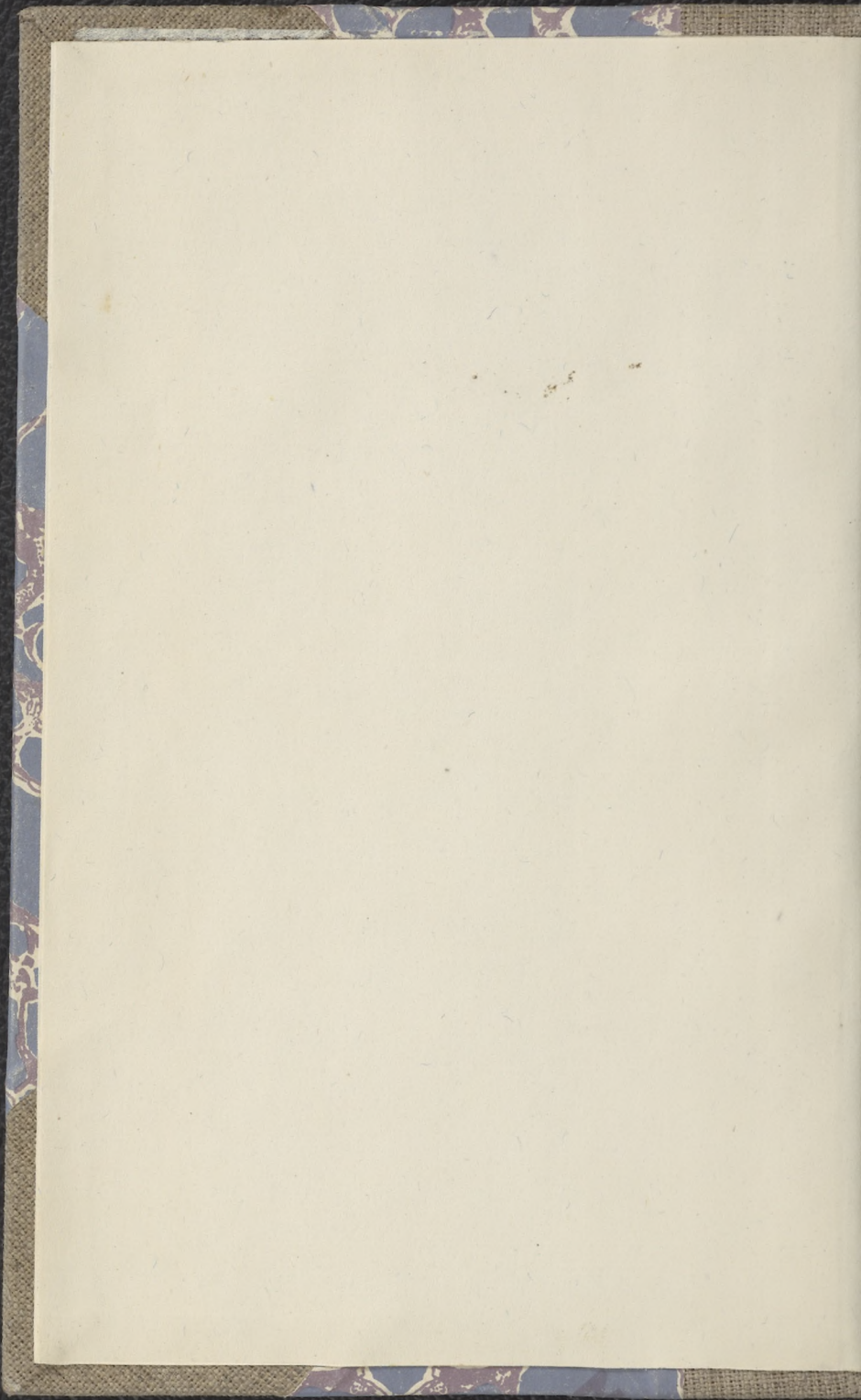










KS. ALOJZY-MAJEWSKI

ŚWIATEŁ

I

CIEŃ

ŻYCIA

MAŁŻEŃ-

SKIEGO

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW

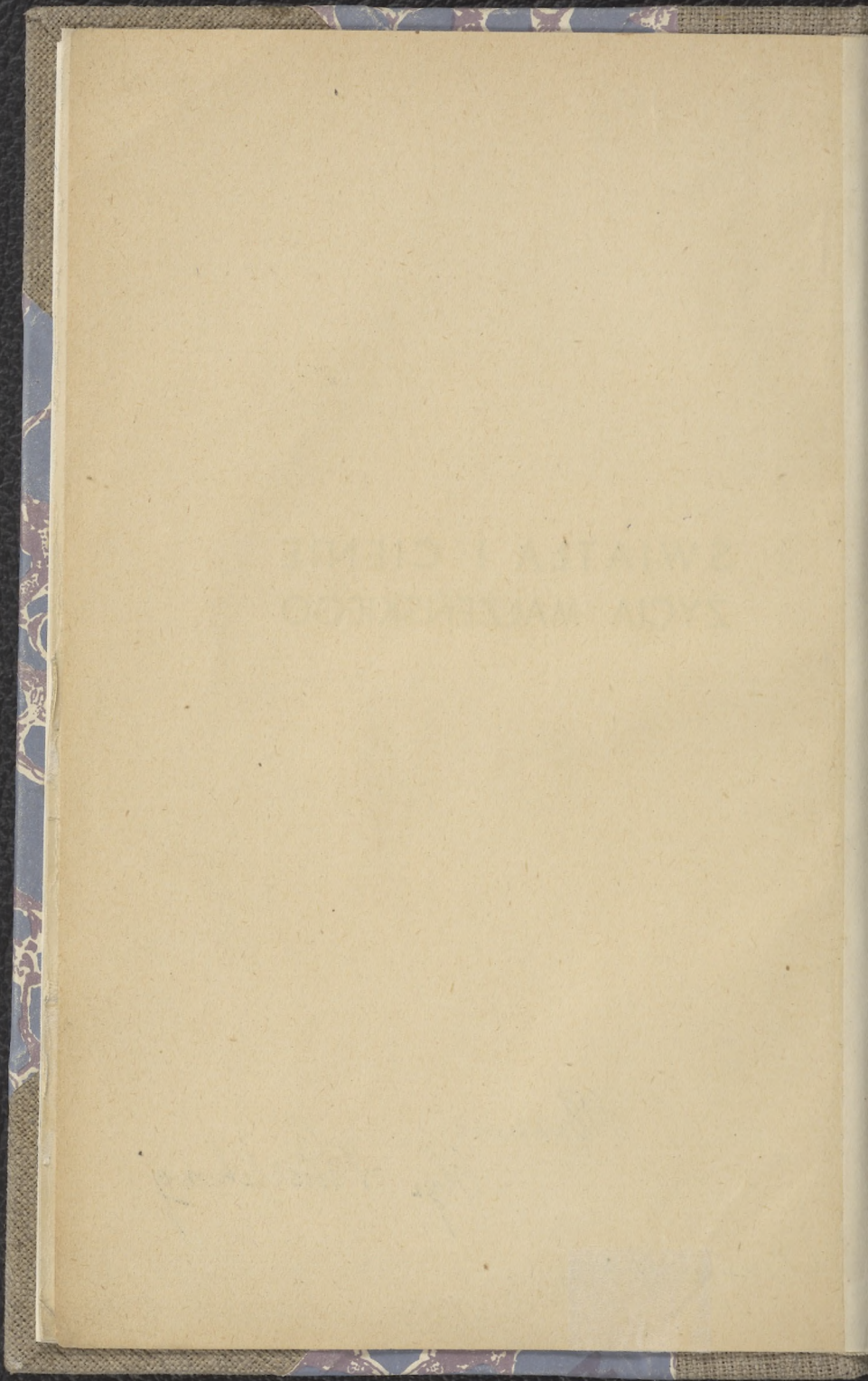
Готомыя IX. 1937.

I 899. 787

ŚWIATŁA I CIENIE
ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO

Właściciel
Olgi Łuszkowej.

Idonmija 18. 1937.



ŚWIATŁA I CIENIE ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO

zebrał ks. Alojzy Majewski P.S.M.



WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW
WARSZAWA ROK 1936



I 899. 787



Druk. Archid. — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

1978 K488/34

DO CZYTELNIKA!

Rodzina jest źródłem życia — jest fundamentem wszelkiego porządku.

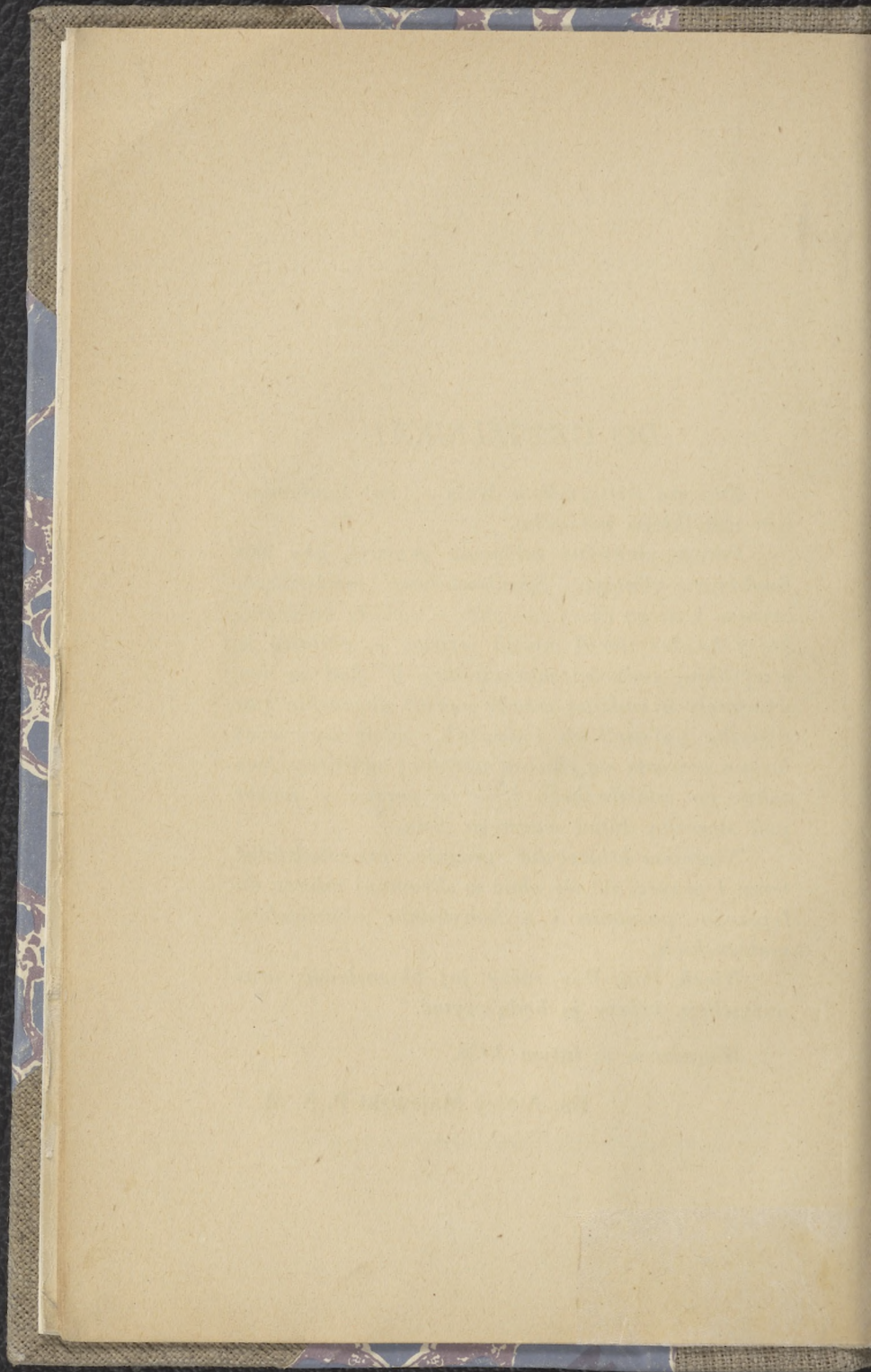
Potęgi piekielne oddawna pracują, aby ten fundament zburzyć. Sponiewierano małżeństwo, czyniąc z niego rzecz świecką — zwykły kontrakt, który każdej chwili można zerwać, — obdarto je z wysokiej godności sakramentu. W ślad za tem wtargnęły w rodzinę zasady wprost pogańskie i to nietylko po wielkich miastach, gdzie zazwyczaj bujnie rozrasta się chwast moralnej zgnilizny, lecz także po miasteczkach i — co gorsza — nawet pod strzechą dotąd wiernego ludu.

Niniejsza książeczka pragnie przeciwdziałać temu i przyczynić się choć w skromnej mierze do lepszego poznania i wykonywania obowiązków małżeńskich.

Niech Pan Bóg raczy jej błogosławić, oraz wszystkim, którzy ją będą czytać.

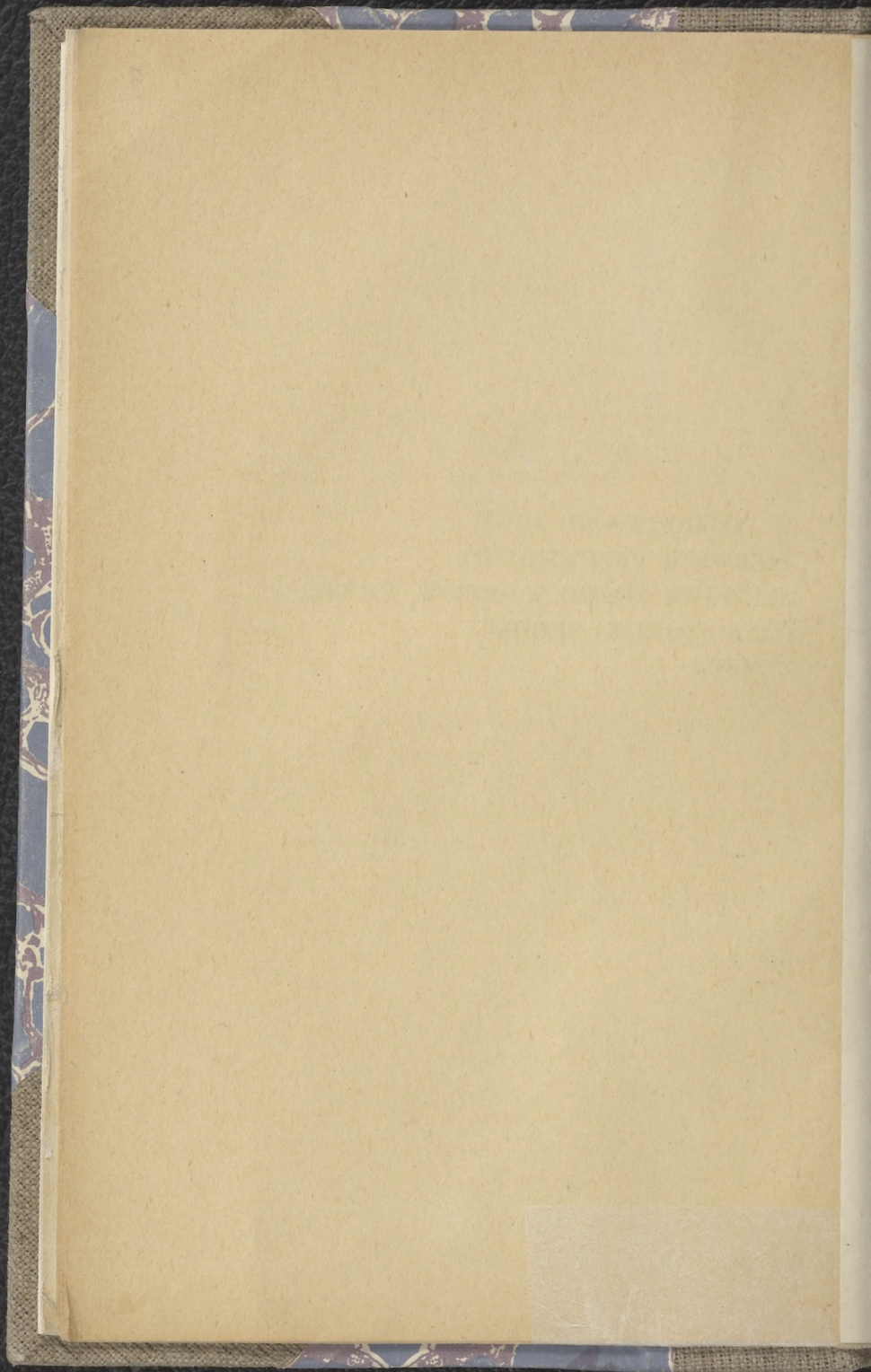
Warszawa, w lutym 1936.

Ks. Alojzy Majewski P. S. M.



I.

W POSZUKIWANIU ŻONY
PIERWSZE PRZEWINIENIE
ŻYCZLIWE SŁOWO W ODPOW. CHWILI
CZARODZIEJSKI ŚRODEK
ZEMSTA



W poszukiwaniu żony

Znam go bardzo dobrze, ponieważ był moim kolegą i wiernym towarzyszem lat dziecinnych. Może i całe życie pozostałibyśmy nierozłącznymi przyjaciółmi, gdyby nas losy nie rozdzieliły i nie poprowadziły różnymi drogami. Zawsze podziwiałem jego zimną krew i spokój, jaki zachowywał w każdej sprawie. Czasem nawet gniewałem się na niego i nazywałem go nudziarzem, bo we mnie gorąca krew wrzała i pobudzała do bystrego działania. Ale zawsze okazywało się, że on ma słuszość. Łatwiej byłoby skałę wzruszyć z miejscą, niż jego wyprowadzić z równowagi.

Tacy byli wszyscy Ziulińscy. Oni wszyscy byli flegmatykami i powolnego charakteru.

Czy Jerzy popełnił w życiu jakie głupstwo — tego nie wiem. Mówią, że każdy dopiero wtedy zmądrzeje i uspokoi się, gdy kilka głupstw zrobi. Ale do niego nie da się to zastosować. Słynął jako najlepszy sportsmen, doskonały śpiewak, wśmienity aktor i dobry towarzysz.

Miał już lat 27 a nigdy nie wyjawiał zamiaru wstąpienia w związek małżeński, chociaż rodzice jego byli już ludźmi wiekowymi. Dlatego też matka przemówiła raz do niego:

— Jerzy, wiesz, że już starzy jesteśmy i życie nasze może już nie długo potrwa. Poszukaj więc sobie żony, aby i nam ona była pomocą.

Jerzy uśmiechnął się. Zabawiła go myśl ewentualnego ożenienia się. Że inni to czynią, było to zupełnie zrozumiałe, ale żeby i on miał pójść ich śladem, o tem jeszcze wcale nie myślał.

— Może posiadasz już jaką sympatję? — nalegała matka. — Nie, jeszcze — odrzekł. — Nie podoba mi się żadna. Dotychczas, ty, matko, jesteś moją pierwszą i ostatnią miłością. Lepszej chyba nie znajdę.

Matka roześmiała się głośno. Ale dumną była ze swego syna i łzy w oczach okazywały, że ją to rozczyliło. — Jesteś jeszcze wielkiem dzieckiem, pomimo, że masz już 27 lat — powiedziała.

— Jestem dzieckiem i chciałbym niem pozostać — twojem dzieckiem, mamó!

— No, nie żartuj, Jerzy. Chciałabym widzieć, kto na mojem miejscu będzie gospodarował. A chciałabym też jeszcze oglądać moich wnuków.

— Nie wiem jak to będzie. — Teraz tak nam przyjemnie żyć tu razem ze sobą...

— Głupstwo. Lepiej zrobisz, jak poszukasz, a potem...

— To dobrze, ale jak będzie z miłością? Przecie nie mogę wziąć dziewczyny, kiedy mi się nie podoba?

— Nic to nie znaczy. To przyjdzie samo przez się. Musisz tylko na serjo zechcieć się ożenić. Dobra jest ostrożność w każdej ważnej sprawie,

ale gorszem jest zostać kawalerem przez zbytnią ostrożność.

Filozofja matki trafiła mu do przekonania.

— Dobrze, mamó, spróbuję — rzekł i udał się do swej pracy.

Ziulińscy dobrze wszystko rozważą, nim wezmą się do dzieła. To też przez rok cały między matką i synem nie było więcej o tem mowy, jak gdyby o wszystkim zapomnieli. Dopiero w następnym karnawale, po roku, odezwał się Jerzy:

— Mamó, przez cały rok przypatrywałem się wielu dziewczętom, aby się przekonać, która z nich mogłaby zostać młodą panią w naszym domu.

— Jakież to były dziewczęta?

— Nasamprzód córka sekretarza...

— Tak to bardzo dobra partja. Bogata i przystojna, wesoła i pracowita — z radością zawołała matka, ponieważ sama nieraz już o niej myślała.

— Wszystko to piękne, ale zanadto jest harda i zbyt ostro z rodzicami postępuje. Wolałbym żadnej żony do domu nie wprowadzać, niż taką. Za wielką sprawiałoby mi przykrość, gdybym widział, że jest ona dla ciebie, mamó, niegrzeczna.

— Którą więc wybrałeś? Może córkę doktora?

Jerzy potrząsnął głową.

— Tak, ładna jest i bogata, ale nadto lubi się stroić. Taka żona nie dla mnie. Takiej dziewczyny, która już od lat 15-tu zaczyna się wszystkim podobać i ciągle ma konkurentów, jednego po drugim — nie wziąłbym za żadne pieniądze.

— A córka inżyniera?

— Nadto niezgrabna i ociężała. Zdaje się także, że nie ma wiele serca. Myśli tylko o pracy i zbieraniu pieniędzy. Biednemu nic nie da. Taką kobietą nie byłaby dobrą żoną.

Matka przyznała słuszność synowi. I na tem rozmowa się urwała.

W parę miesięcy później Jerzy musiał pójść do sąsiedniej wioski. Po drodze spotkał młodą pannę, która prowadziła starego człowieka z taką ostrożnością, jak najlepsza pielęgniarka. Zatrzymywała się czasami, zwracając uwagę starca na piękną przyrodę, lub słuchała uważnie, co on mówi.

Jerzy znał starca, ale dziewczęcia nie znał wcale. Zatrzymał się i pozdrowił go grzecznie, nie zwracając uwagi na jego towarzyszkę. Ale starzec sam zaczął opowiadać:

— To moja siostrzenica, Anusia. Przyjechała do nas na parę miesięcy, aby nam w pracy pomagać. Lepiej mnie pielęgnuje, niż moje własne dzieci, a ponieważ wie, jak bardzo lubię przechadzki, w każdą niedzielę udaje się ze mną na spacer.

Młoda opiekunka zarumieniła się i spuściła głowę. — Ach, dziaduniu, nie warto mówić o takiej drobnostce. Mnie samej sprawia przyjemność iść z tobą w pola i podziwiać cuda natury...

Rozmawiali jeszcze czas jakiś, a potem Jerzy poszedł swoją drogą. Ale myśli jego pozostały z nimi. Myślał o tem, że dziewczyna, która umie bezinteresownie tak wiele serca okazać starcowi, prawie obcemu, musi mieć rzeczywiście dobre ser-

ce. — Ta będzie moją żoną! — tak postanowił sobie, gdy wrócił wieczorem do domu i z radością powiedział to matce: — Mamo, znalazłem dziś moją przyszłą żonę! — Tak się też stało. W parę miesięcy później odbyło się wesele. I Jerzy nie potrzebował już pytać, jak będzie z miłością.

Po paru latach spotkałem znowu swego towarzysza — Jerzego. Twarz jego tryskała radością i oczy jaśniały, gdy mówił: — W naszej siedzibie z każdym dniem piękniej.

Wierzę mu!

Pierwsze przewinienie

— Masz tu, moja droga, pieniądze na domowe wydatki. Spodziewam się, że nie będę musiał z głodu umierać! — mówił z uśmiechem sekretarz Węzyk do swojej młodej żony, Małgosi, która z widocznym zadowoleniem liczyła otrzymane pieniądze.

Był to ostatni dzień miodowego miesiąca. Wczoraj wrócili z podróży poślubnej, i dziś młoda gospoia otrzymała po raz pierwszy pieniądze na domowe wydatki.

Była uszczęśliwiona, że ma takiego dobrego męża i, że co miesiąc będzie tyle pieniędzy otrzymywać. Będzie się o męża starała — głodu nigdy nie zazna. Mówiono jej, że miłość męża przechodzi przez żołądek — o tem dobrze pamięta.

Nazajutrz rano, gdy mąż poszedł do biura, wyszła za sprawunkami. Nasamprzód kupiła kury — pamiętała, że mąż lubił je bardzo, gdy jeszcze jako narzeczony bywał u jej rodziców. Na niedzielę zamówiła gęś. Później kupiła szynkę i inne wędliny, także i łososia. Nakoniec konserwy, owoce, masło, ser, kawę dobrego gatunku, bo i tę mąż lubił.

Z podniesioną głową — dumną bowiem była,

że zarządza domem i gospodarstwem — wracała do domu, gdy nagle w oknie magazynu zauważyła młynek do kawy — prawda, i on jest mi potrzebny i kupiła go też. W innej wystawie ujrzała elegancki damski kołnierzyk — „ach, ten mi się przyda: mąż będzie zadowolony, gdy mnie ujrzy w nowym kołnierzyku”. Szła wesoło dalej: „Trzeba się śpieszyć, mąż wraca do domu o godz. 4-tej, na pewno z dobrym apetytem — trzeba mu do tego czasu wszystko przygotować.

Na oznaczoną godzinę wszystko stało już na stole, nakrytym czystym obrusem. Mąż przyglądał się ciekawie, co mu droga żoneczka na pierwszy dzień przygotowała. Z rozpaloną twarzą od gotowania i pieczenia przyjęła go Małgosia i cieszyła się niezmiernie, że wszystko mężowi smakuje.

— No, to było dobre. Czy codziennie tak jeść będziemy, Małgosiu?

— Tak, tak, codziennie, a smakowało ci, mężulku?

— Doskonale, czy ci tylko na wszystko wystarczy?

— O to się nie obawiaj! Mając tyle pieniędzy na wydatki, możemy sobie na to pozwolić.

Małgosia dotrzymała słowa: stół był codziennie zastawiony najwięcej wyszukanemi potrawami, a w niedzielę bywał jeszcze tort na deser.

Mąż dziwił się. Nie spodziewał się bowiem, że codziennie będzie jadał takie smaczne obiady. Koledzy jego skarżą się zawsze, że utrzymanie domu tak dużo kosztuje. Tymczasem on może Bogu dziękować, że znalazł taką rozumną i gospodarną

żonę. Dlatego też musi jej koniecznie sprawić jaką niespodziankę. Tembardziej, że mówiła mu kiedyś o maszynce do kręcenia lodów, co bardzo urozmaicałoby ich obiady podczas gorących dni lata; wspominała też delikatnie o kwiatach na wieniec... Dobrze więc składa się — ma teraz okazję, aby wyrazić wdzięczność swej żonie.

Trzy tygodnie upłynęły szczęśliwie. Aż tu chmurka niezadowolenia zasępiła czoło Małgosi: z przerażeniem spostrzegła, że szkatułka prawie już pusta, a jeszcze na całe dziesięć dni musi wystarczyć, nim nowe pieniądze przyłyną. Co tu robić? Powiedzieć mężowi, że za dużo wydała? Nie — za żadną cenę! Jeszcze niedawno tak ją chwalił, że wszystko dobrze robi i że tak jest oszczędna. Dlaczego też nie zauważyła wcześniej, że pieniądze się kończą? Takiej lekkomyślności mąż jej nie wybaczy!

Co tu robić? Może wziąć na kredyt? — Poczekają do 1-go. Ale to brzydko robić długi. Nie, tego ona nie uczyni.

Tak bardzo tem się przejęła, że aż dostała bólu głowy. W tem błysnęła jej szczęśliwa myśl. Gdybym tak zachorowała na parę dni — musiałby mąż jeść gdzieindziej — a rzeczywiście źle teraz wygląda; z czystym sumieniem może się do łóżka położyć.

Gdy mąż przyszedł do domu, Małgosia leżała. Cichym głosem prosiła go, aby dziś poszedł do restauracji — cały dzień czuła się tak niezdrowa, że nie mogła gotować obiadu.

„Z chęcią — ale co ci jest? Dziś rano byłaś

jeszcze zdrowa? Usiadł na łóżku i przyłożył rękę do jej gorącej głowy. Jakieś przeczucie podszeptnęło mu, aby zapytać się: „A czy nie masz mi czego do powiedzenia?”

Małgosia rozplakała się.

— A widzisz, dziecko moje, mężowi można wszystko powiedzieć.

Małgosia skłoniła głowę na jego piersi i, nie patrząc mu w oczy, z płaczem wyszeptała:

— Ach, to okropne, że muszę ci się przyznać — teraz... już teraz... tak wcześnie... a nie będziesz gniewał się na mnie?

— Ależ nie — jak ja mogę się gniewać? Powiedz mi tylko!

— Ach, mój drogi! — wyczerpały się już wszystkie pieniądze na wydatki domowe!

Życzliwe słowo w odpowiedniej chwili

Południe. — Mąż przychodzi do domu zmęczony i wyczerpany pracą. Żona podaje obiad na stół, ale ani on jej nie pozdrowił, ani ona go nie powitała serdecznem słowem; czy zapomniała o tem? Na młodem czole Marji widać jakąś chmurę, jest stroskana i znużona — stwierdził z przykrością Stanisław. — Wygląda jak burza, musi mieć dużo zajęcia, zapewne pranie — myśli mąż. Chce się coś odezwać, ale, widząc chmurną i bladą twarz żony, mówi tylko: „Taka dziś jesteś zasepiona, że boję się do ciebie mówić; kobiety zawsze gdy piorą lub pieką... — ale nie kończy, bo Marja idzie tymczasem po resztę obiadu — siedzą więc na przeciw siebie, nic nie mówiąc.

Żeby choć obiad był zły, znalazłby się pretekst do sporu, ale Stanisław przyznaje w duszy, że ten jest doskonały. Mieszkanko czysto posprzątane, kwiatki na oknie podlane i okurzone, ptak w klatce śpiewa zadowolony — a między nimi grobowe panuje milczenie.

Marja zbiera obrus i wynosi go do kuchni, gdzie bierze się do zmycia naczyń i myśli: „Całe rano tak się namęczyłam, a on dla mnie nawet życzliwego nie ma słowa... I wspomina czasy na-

rzeczeństwa — tak niedawno, pięć miesięcy jak się pobrali, a jakiż dawniej był czuły i uważny, a rozmowny, nazywał ją Marysieczką — czy mu już zo-bojętniała?”

W ciągu tego czasu Stanisław rozważał: „Ona jest przecież bez zarzutu, taka gospodarna i pracowita — inne kobiety nie pracują tyle co ona, jest taka niewymagająca dla siebie i zawsze czemś pożytecznem zajęta”. — „Mężczyźni nie cenią pracy kobiet, mówi do siebie Marja, sprzątając w kuchni, czy życie małżeńskie zwykle jest takim?”

Stanisław siedzi w pokoju zadumany z głową opartą na ręku i powtarza sobie: „To przecie nie do zniesienia jest takie życie — przychodzi się do domu, pragnie życzliwego spojrzenia, trochę rozrywki — a tu nic; pocóż się człowiek właściwie żeni? Tu przychodzą mu na pamięć słowa jego matki, które mu rzekła na pożegnanie, gdy odjeżdżał po ślubie: „Jeżeli twoja żona będzie kiedy zachmurzoną albo zmęczoną i nie odezwie się do ciebie serdecznie i wesoło, to pochwal ją za jej pracę i starania koło domu i ciebie, a zobaczysz, że zajaśniejże zadowoleniem i weselem”.

Czyż był ślepy? czuł się wprawdzie nieraz bardzo znużonym — ale czyż jego żona mniej się od niego męczy w domu. Tygodnie mijały, on przyjmował jej pracę jako rzecz należną, zapominając o uwadze na drobne przysługi dla niej. Inni dziękują swym żonom, są dla nich uważni i usłużni — a on zaniedbał tego zupełnie — i czyż ona za to miała być dla niego serdeczną?”

Marja ukończyła porządki w kuchni i usiadła przy bocznym stoliku z robotą w rękę.

— Co robisz, Marysieczko? — zagadnął Stanisław.

— Szyję przykrycie na stolik w kuchni.

— Robisz to bardzo ładnie... i, widzę, że to praktyczna rzecz... — ale ty wyglądasz mizernie — masz za mało powietrza, możebyśmy poszli na spacer? Ty za dużo pracujesz, czemu nie weźmiesz posługaczki?

Marja spojrzała zdziwiona na Stanisława, czy on to serjo mówi?

Twarz jej się rozjaśniła.

— Ach, Stasiu, zawołała, jakże mię cieszą twoje słowa, my kobiety chętnie się poświęcamy dla was mężczyzn, ale pragniemy za to dowodu uznania i zadowolenia z waszej strony i czujemy się szczęśliwe z okazania choć odrobiny uwagi. Nie gniewaj się, że byłam zadąsana.

— To ja winienem prosić o przebaczenie — ale idź, ubierz się, pójdziemy na przechadzkę.

Jakże się odmieniły, tak przed chwilą zasępione oblicza, jakby promień słońca nagle padł na nie — a w oku żony zdaje się nawet łza szczęścia zabłysła.

Któż poznałby tę parę, tak niedawno zachmurzoną, idącą teraz pod rękę, rozmawiającą tak wesoło. A to tylko kilka dobrych, życzliwych słów stworzyło tę przemianę.

Czarodziejski środek

Pani Żerkowska siedziała przy oknie, zajęta ręczną robotą.

— Mój Boże, jakże to teraz pusto zrobiło się w naszym domku, odkąd opuściła nas Dosia. Za ledwie sześć miesięcy minęło od jej ślubu, a mnie zdaje się, że to sześć lat conajmniej...

Dalszy tok rozmyślania pani Żerkowskiej przerwało nagle zjawienie się Dosi, która, przy padłszy do cioci Żerkowskiej, rzuciła jej się na szyję.

— Czy to możliwe? Tak niespodzianie? Czy się co stało?

— Nic, nic, ciociu kochana, chciałam tylko ciebie zobaczyć, a gdy Henryk udał się dziś rano do biura, wsiadłam w kurjer — i pozostanę u ciebie aż do wieczora.

— Ale cóż tobie, kochanie? Czego ty płaczesz? Czyś nie jest szczęśliwą?

— Nie, ciociu, o nie, nie! — narzekała Do-

— Ale bójże się wszystkich dobrych duchów, cóż to ma znaczyć? Przecież kochał on ciebie, a ty jego! Gdyście mnie w dzień ślubu żegnali, byliście najszczęśliwszem małżeństwem, jakie kiedykolwiek widziałam.

— Prawda to, ciociu, ale Henryk nie kocha mnie już tak, jak dawniej.

— I czyja w tem wina?

— Moja napewno nie — zapewniała Dosia. — Nikt nie ma chyba prawa, domagać się ode mnie, abym była zawsze dowcipną i wesołą. Jeżeli mu się nie podoba widzieć mnie w złym humorze, niechaj mnie nie drażni.

Pani Żerkowska westchnęła.

— Wierzę — rzekła — że jesteś gotowa wystawić twą miłość na wielką próbę...

„Ale tych codziennych dokuczań — przerwała jej namiętnie Dosia — nie mogę znieść! O, ciociu kochana, co ja pocznę?

— Słuchaj, Dosiu — rzekła po krótkiej przerwie — to, co mi tu opowiadasz, nie jest dla mnie nowością. Gdy wyszłam za twego wujka, doświadczyłam tego samego.

— Naprawdę, ciociu?

— Naprawdę. Szczęściem nie długo to trwało. Znalazłam wkrótce skuteczny przeciw temu środek.

— I cóż uczyniłaś ciociu? — pytała Dosia, ciągle jeszcze płacząc.

— Użyłam znakomitego środka, który mi oddał bardzo dobre usługi.

— Czarodziejskiego środka!? — Dosia spojrzała z niedowierzaniem na ciocię.

— Tak, tak — rzekła pani Żerkowska — posiadam bardzo skuteczny czarodziejski środek, odziedziczony po matce.

— I cóż to takiego, ciociu?

— Zaraz ci go pokażę, albo, lepiej podaruję.

Przy tych słowach pani Żerkowska zdjęła złoty naszyjnik i zawiesiła go na szyi siostrzenicy.

— Jak to, ciociu, ten kosztowny naszyjnik?...

Na złotym łańcuszku było 21 złotych pereł, delikatnej cyzelerskiej roboty, wytartej jednakże przez długie używanie.

— Oto mój środek czarodziejski! — rzekła ciocia. — Dawniej, gdy wymagała tego potrzeba, nosiłam go, zamiast na szyi, w kieszeni. I tobie to samo radzę, aby się Henryk niczego nie domyślał. Gdy będzie znowu kiedy grymasił, a ty będziesz mieć ochotę odpłacić mu pięknem za nadobne, wstrzymaj się chwilkę, sięgnij ręką do kieszeni i odlicz na tym naszyjniku trzy perełki, a potem powiedz mu, co ci się podoba.

Pani Dosia się roześmiała:

— Chyba ze mnie żartujesz, ciociu?

— Nie żartuję, Dosiu, lecz mówię zupełnie poważnie. Zresztą nie potrzebujesz mi wcale wierzyć, dopóki się sama nie przekonasz o skuteczności tego czarodziejskiego środka.

— Ja to uważam za bardzo śmieszne!

— Nie zaszkodzi spróbować — rzekła pani Żerkowska — a potem powiesz mi, czy skutkowało. Ale uważaj, abyś nic uprzednio nie powiedziała, zanim nie odliczysz tych trzech pereł: pierwszą, o wiarę; drugą, o nadzieję; trzecią o miłość. Przekonasz się, że gniew zniknie z serca, a słowa ostre nie zostaną wypowiedziane.

— Spróbuję — rzekła Dosia, biorąc do rąk naszyjnik i oglądając go z pewnem uszanowa-

niem — jestem wszakże przekonana, że to nie pomoże.

— A ja myślę wręcz przeciwnie — rzekła spokojnie pani Żerkowska; — lecz idźmy teraz do ogrodu, pomożesz mi zerwać nieco grochu i jagód.

Pani Dosia spędziła resztę dnia u cioci bardzo przyjemnie. Gdy wróciła do domu było już ciemno, i Henryk wrócił już był z biura. Chmurny i zgryźliwy chodził po pokoju.

— I czy to przyjemnie, wrócić do domu po pracy i zastać mieszkanie puste i opuszczone? — mówił ostrym tonem. — Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz zamiar wyjechać? Spędziłbym wieczór w klubie.

— Bo nie jestem dzieckiem, które o pozwolenie pytać musi — chciała odciąć pani Dosia, lecz przypomniała sobie naszyjnik, wsunęła rękę do kieszeni i odliczyła trzy perełki: o wiarę — jedną, o nadzieję — jedną i o miłość — jedną. I podczas, gdy to czyniła, musiała przyznać, że Henryk miał rzeczywiście słuszość. Gdy wrócił, mieszkanie było puste i ciemne i nic dziwnego, że się o to rozgniewał.

— Zaraz zapalę światło, mój kochany — rzekła — przepraszam cię, powinnam ci była rzeczywiście powiedzieć, że mam zamiar wyjechać do cioci Żerkowskiej.

Chmury z czoła Henryka zniknęły.

— Przyznaję, że nie bardzo to przyjemnie siedzieć przez cały dzień samotnie w domu. W przyszłości poczytamy co wieczorem wspólnie.

Młoda mężatka stała się niemal zabobonna, gdy spostrzegła ten niespodziewany skutek czarodziejskiego środka.

Gdy Henryk następnego dnia rano ubierał się, zawołał zirytowany:

— Już znowu guzik urwany! — i rzucił koszulę w kąt pokoju. — Mogłabyś też trochę obejrzeć, czy przy moich rzeczach wszystko jest w porządku.

— Dlatego nie potrzebujesz robić zaraz hałasu — zawisło na ustach pani Dosi. Lecz korale. Niby błyskawica przeleciała jej przez głowę myśl o ich czarodziejskiej sile. Sięgnęła ręką do kieszeni i raz, o wiarę, dwa, o nadzieję, trzy, o miłość. — Dzisiaj wszystko przejrzę — rzekła spokojnie.

Henryk roześmiał się:

— Wiesz, że nic nie wystawia tak bardzo cierpliwości mężczyzny na próbę, jak urwany guzik. Już taką jest męska natura.

Przy śniadaniu kawa była mętna i chleb niewypieczony. Henryk odsunął niezadowolony filiżankę na bok.

— Co to za jedzenie? — wypadło mu z ust.

Pani Dosi poczerwieniała do dziesiątej skóry.

— Jeśli ci się nie podoba... — lecz nie wypowiedziała, ręką sięgnęła po korale i — raz — dwa — trzy. — Chleb był rzeczywiście niewypieczony i kawa niedobra. I jej nie smakowało. — Służąca nie umie jeszcze piec, ale jest chętna i zczasem się nauczy. Zaczekaj chwilkę, a zaraz ci podam filiżankę dobrej kawy!

Henryk, pomijając jego porywczy charakter, był bardzo dobrym człowiekiem. Gdy więc zauważył cierpliwość żony, żal mu się zrobiło swej szorstkości.

— Daj spokój, kochanie — rzekł łagodnie. — Podaj mi szklaneczkę mleka. Na drugi raz uda się służącej lepiej.

Kiedy zaś potem, ucałowawszy żonę, wyszedł do biura, pani Dosia wyjęła korale z kieszeni i serdecznie je ucałowała.

W miesiąc później była znowu u cioci Żerkowskiej, lecz tym razem w towarzystwie Henryka.

Gdy przez chwilę były same, ciocia Żerkowska nie omieszkła zapytać:

— No i cóż, Dosiu, pomogło?

— O, ciociu, jaka ja jestem szczęśliwa, nie będę w stanie nigdy ci dosyć podziękować. Czy wolno mi zatrzymać ten naszyjnik?

— Owszem, kochanie, ale co do jego czarodziejskiej siły...

— Już wiem, ciociu, już wiem! — przerwała jej szybko Dosia. — Nie te trzy perełki mają czarodziejską siłę, ale uzyskany w ten sposób czas, daje nam możność namysłu, a przez to nie wypowie się niejednego twardego słowa. Nie w tych perełkach tkwi siła, lecz w panowaniu nad sobą. Byłam skłonną do popędliwości i takim był też i Henryk. Poprawiliśmy się wszakże pod tym względem i przyrzekliśmy sobie, stale czuwać nad sobą i nie dokuczać sobie więcej.

Z e m s t a

Wiosna. Słońce przygrzewa i budzi do życia skutą przez mróz ziemię i zawartą w niej roślinność. Skowronki nuć wesoło. Na drzewach i krzewach pokazują się pączki. Ludzie wyjeżdżają w pole.

I Wawrzyn Bielak, włożywszy pług na wóz, wyjechał orać w pole. Siedząc na wozie, rozglądał się dokoła. Dojechawszy na miejsce, zdjął silną ręką pług z wozu, zaprzągnął do niego konie i począł przekładać ziemię, równo skiba za skibą. Sam w zamyśleniu szedł za pługiem — rozważając to co minęło i marząc o przyszłości. Chodząc zaś za pługiem, marzy się dobrze.

Nie są to jednak sny przyjemne, jakieby mógł śnić taki, jak on — 27-letni młodzieniec; jedyny syn zamożnego właściciela ziemi, lubiany przez ojca, zdrowy i silny. — Cóż może mu jeszcze brakować? — Żony? — ależ mógłby wybierać, jaka mu się podoba, gdyby... gdyby ojciec nie uczynił już za niego tego wyboru i to właśnie jest jego strapieniem. Ludwika Demska! Jak mogły oczy ojca spocząć na tej dziewczynie? Jest wprawdzie uczciwa, ale dumna i zarozumiała — a z taką kobietą trudno byłoby być szczęśliwym.

„Demscy mają ładny majątek, a ojcu jej już przed kilku laty przyrzekłem, że syna z jego córką ożenię. W twoim wieku pora już o żonie pomyśleć”. Wczoraj jeszcze mówił tak ojciec do niego. Wawrzyn nie odpowiedział ani słowa. Gdyby tu chodziło o Helenę Zarębską — to co innego: z nią mógłby być szczęśliwym. Dawno już zamierzał pomówić o niej z ojcem, ale brakło mu odwagi... a jednak trzeba się już raz nakonec zdecydować.

— Szczęść Boże, panie Bielak! — odezwał się miły głos, który wywołał rumieniec na twarzy Wawrzyna — była to bowiem właśnie ta dziewczyna, o której rozmyślał w tej chwili. Tak był zajęty swemi myślami, że nie zauważył nawet, jak podeszła i stanęła przed nim.

— Dzień dobry — panno Heleno! — odrzekł, zatrzymując konie. Co panią tak wcześniej wywabiło z domu?

— Ta piękna pogoda — odrzekła — chciałam trochę pokopać w ogrodzie, bo już czas zaprowadzić tam porządek.

— Tę ciężką robotę mógłby wykonać kto inny — mówił Wawrzyn.

— Niema komu. Matka stara i słaba, obcych ludzi nie mamy za co najmować. Nieboszczyk ojciec choć był nauczycielem, nie mógł wiele uzbierać — jego dochody były niewielkie, a musiał łożyć na studja brata, który się uczył w seminarjum nauczycielskiem.

— Czy ma dobre miejsce?

— Tak jest — pomaga matce ile tylko może.

— A czy dla pani robota w polu nie za ciężka?

— Nie — odrzekła, uśmiechając się — przecież jestem zdrowa i silna. Ojciec przyuczył nas już od dzieciństwa do pracy, teraz rada jestem, że ją umiem. Ale ja tu stoję i przeszkadzam panu... a oto nadchodzi i ojciec pana...

To mówiąc oddaliła się, a Wawrzyn znowu popędził konie.

Wkrótce zbliżył się ojciec.

— Chciałem zobaczyć, czy ziemia już wyschła, czy będziemy już mogli siać nie długo?

— A stąd ojciec pójdzie do domu? — pytał Wawrzyn.

— Tak, ale zajdę po drodze do Demskich.

— Do Demskich? — zapytał syn.

— Tak jest, jako do dobrych sąsiadów, a potem — jeżeli Ludwika ma zawitać do naszego domu...

— Nie, ojcze! — przerwał Wawrzyn — tego ja ci nigdy nie przyrzekałem, że ją wprowadzę do naszego domu — w sprawach, które się tyczą mego osobistego szczęścia — ja sam muszę decydować.

Zdziwiony ojciec szeroko roztworzył oczy i patrzył na syna, jakgdyby słów jego nie rozumiał.

— Co takiego? — Nie chcesz wziąć Ludwikę za żonę?

— Nie, ojcze.

— A ja to przyrzekłem jej ojcu już przed kil-

ku laty. Czy mam złamać słowo? — mówił ojciec podrażniony.

— Przyrzeczenie takie wcale cię nie obowiązuje, ojcze. Wogóle niedobrze postąpiłeś, że dałeś słowo bez mojej wiedzy i zezwolenia.

— Głupstwo! — Dlaczego nie chcesz Ludwika? W domu gospodyni jest potrzebna — trudno nam tak dalej gospodarować. Czy może sobie inną upatrzyłeś?

Wawrzyn był trochę zakłopotany. Chwilę przemilczał, nakoniec odpowiedział:

— Tak, ojcze, chciałem ci to już wczoraj wieczorem powiedzieć.

— Powiedz mi, kto to taki?

— Helena Zarębska, córka nauczyciela — zapewne przeciw niej nic mieć nie będziesz?

— To, to nie — odrzekł ojciec powoli — ale muszę się wprzód zastanowić.

Po tych słowach poszedł do wsi, nie pożegnawszy się z synem.

Wawrzyn wziął się znowu do orania. Dopiero gdy usłyszał sygnaturkę na „Anioł Pański”, zabrał się do powrotu.

Po obiedzie, gdy wszyscy zaczęli się rozchodzić, ojciec Wawrzyna rzekł do niego poważnie:

— Zostań ze mną na chwilę. Myślałem o tem, co mi powiedziałaś. Już dawno zauważyłem, że Helena cię bardziej zajmuje, niż należy. Tak — to bardzo dzielna dziewczyna — mogłaby być moją synową, pomimo że nie ma majątku.

Wawrzyn uradował się.

— Dziękuję ci, ojcze, za twoje słowa — chciał ucałować rękę ojca, ale on ją cofnął.

— Obawiam się tylko, że Demscy się obrażą, bo córka spodziewa się, że zostanie twoją żoną.

Wawrzyn wzruszył ramionami:

— Bardzo żałuję, że robili sobie nadzieję bez mojej wiedzy, ale jeżeli są ludźmi rozsądnymi, nie obrażą się moją odmową.

— A więc Helena już ci przyrzekła?

— Wawrzyn spojrzał na ojca:

— Nie, ojcze, jeszcze z nią o tem nie mówiłem, ale pewien jestem, że się zgodzi.

Teraz znowu ojciec się zadziwił:

— Jakto? jeszcze nie mówiłeś z nią, a tak pewien jesteś? Co to za dziwactwa? Za moich czasów bywało inaczej: trzeba było się oświadczyć, usłyszeć słowo „tak” — a wtedy wesele. W takim razie ja będę twoim swatem i przyniosę ci jej odpowiedź. A co będzie jeżeli kosza dostaniesz?

Zakłopotany Wawrzyn milczał i pokręcał głową.

— No, wtedy poddam się woli ojca i zaślubię Ludwikę.

Śmiejąc się głośno, wstał ojciec z krzesła. Wawrzyn wyszedł uszczęśliwiony, bo ani na chwilę nie wątpił, że ojciec mu przyniesie od Heleny pomyślną odpowiedź. Poszedł pracować do ogrodu, ale robota szła mu nieskładnie. Co chwila wyglądał za płot, czy ojciec nie idzie do domu jego wybranej. Nakoniec drzwi skrzypnęły i zobaczył, że ojciec wyszedł z domu. Teraz znowu czekał niecierpliwie jego powrotu.

Ojciec doszedł do domu Zarębskich, zatrzymał się chwilę, наконец zastukał ostrożnie do drzwi.

— Ach, pan Bielak! — zawołała matka Heleny — czemu zawdzięczamy wizytę pana?

— Pewna osobliwa okoliczność sprowadza mnie tutaj. Mój syn... mój syn... — mówił zakłopotany ojciec Wawrzyna.

— Co takiego? — pyta znowu zdziwiona kobieta.

— Młodzież terazniejsza ma mało odwagi, nieprawdaż, panno Heleno?

— Nie wiem do czego się to stosuje? — odrzekła poprostu zapytana.

— Powiem zatem otwarcie: Dawno już mówiłem synowi, że pora mu poszukać żony. On mi na to odpowiedział, że nie chce innej żony, jak tylko pannę Helenę. Dlatego przyszedłem się zapytać, czy panna Helena i jej matka na to się zgadzają.

Matka spojrzała na córkę, która silnie poczerwieniała:

— To wielki zaszczyt dla nas, ale ja sama nie mogę rozporządzać się szczęściem swej córki. Jeżeli Helena się zgadza, ja nic nie mam przeciwko temu.

— Jaką odpowiedź mam zakomunikować Wawrzyńcowi? — zwrócił się ojciec do Heleny.

— Nie mogę wyrazić mej zgody, panie Bielak, odpowiedziała zawstydzona Helena. Jestem jedyną pomocą matki — nie mogę jej zostawić samą.

— Jeżeli tylko o to chodzi, to dom nasz jest dość obszerny — znajdzie się miejsce i dla matki pani.

Pytając spoglądała Helena na matkę. I ona wie o tem, że młodzi wzajemnie sobie się podobają, choć udawała, że tego nie widzi.

— Jeżeli myślisz, że będziesz z Wawrzynem szczęśliwa, to zgódź się — rzekła matka córce.

— Helena skłania twierdząco głowę, uszczęśliwiona — lzy ma w oczach, tak niespodziewanie spotyka ją szczęście, którego nie oczekiwała.

— W takim razie przyślę tu zaraz Wawrzyna — mówi jego ojciec zadowolony — a w niedzielę urządzimy zaręczyny.

Stary Bielak idzie do domu i przynosi pomyslną wieść synowi.

Kobiety długo jeszcze siedziały i snuły plany na przyszłość.

Przyszedł Wawrzyn, nieco zawstydzony, pozdrowił nieśmiało swą narzeczoną i jej matkę, ale pomatu rozgadał się i poweselał. Szczęście było mu z oczu.

W niedzielę odbyły się zaręczyny. Było wiele gości, między innymi i Demscy. — Ludwika nieprzyjaźnie i złośliwie spoglądała na szczęśliwą młodą parę.

Minęło kilka tygodni. Wszyscy już zapomnieli o zaręczynach, które w swoim czasie wywołały ogólne zdziwienie. Jedna tylko osoba nie może o nich zapomnieć — a tą jest Ludwika Demska.

Choć jej rodzice pogodzili się z tą myślą — ona nie może darować zawodu, którego doznała.

Powierzchnownie starała się ukrywać swoje uczucie i udawać obojętną, ale wewnątrz gniew i zawiść nie milkły ani na chwilę.

Było to wieczorem: w domu Demskich wszyscy już spali, jedna tylko Ludwika czuwa. Gdy wszystko w domu ucichło, zakrywa okno kołdrą, aby światło nie przenikało na zewnątrz i zapala lampę. Wyjmuje z szuflady pióro, papier i kopertę i zaczyna pisać. Oczy jej błyszczą, twarz rozpalona, usta skrzywione szyderczym uśmiechem. Skończyła list podyktowany nienawiścią i chęcią zemsty:

Szanowny Panie Bielak!

Tylko co dowiedziałem się, że Pan się zaręczył z Heleną Zarębską. A więc udało się tej przebiegłej kokotce osiągnąć cel. Często już przedtem opowiadała, że nie spocznie, póki jej się nie uda opłatać Wawrzyna Bielaka i stać się właścicielką jego posiadłości. Widocznie umiała swoją sprawę poprowadzić, jak się to już jej z niejednym udało. Takie napozór niewiniątka z czasem okażą swoje właściwe oblicze. Chciałbym złożyć swoje życzenia szczęścia, ale w tym razie są one nieziszczalne.

Stary znajomy.

Zadowolona z siebie Ludwika zapieczętowała i zaadresowała list do Wawrzyńca Bielaka.

— Ten list już swoje zrobi — w przeciwnym razie można będzie jeszcze drugi napisać — mówiła do siebie, zacierając ręce.

Po nabożeństwie niedzielnem zebrało się kilku mężczyzn pod cienistą lipą i wesoło rozmawiali z sobą. Podszedł do nich i Wawrzyn Bielak,

uprzejmie przez wszystkich witany. Ogólną rozmowę przerwał listonosz — podszedł do Wawrzyna i podał mu list, korzystając z tego, że go tu spotyka i nie potrzebuje zachodzić do domu.

Wawrzyn spojrział na list ze zdziwieniem i nie otwierając, schował do kieszeni. Rozmowa już się nie kleiła, bo myślał o liście, którego pieczęć wskazywała, że pochodzi z miasta odległego o parę godzin drogi. Mimowoli zastanawiał się, od kogoby mógł pochodzić, rad był przeto, gdy towarzystwo zaczęło się rozchodzić do domów. Odszedł nieco na stronę i rozciął kopertę. Czyta raz i drugi, nie może w pierwszej chwili zrozumieć o co chodzi — pismo mu nieznane — nakoniec twarz jego posępnieje i ciężko wzdycha.

— Czyżbym ja się omylił? Czyżby moja Helena była rzeczywiście taką jak ją ten list przedstawia? Nie — to być nie może... to kłamstwo i potwarz — dlaczego ten, co pisze, nie podpisuje swego nazwiska? Nie mam w mieście żadnych znajomych. Precz z tem piśmidłem! — Z temi słowy drze list na kawałki, które wiatr unosi w różne strony.

Idzie do domu. Przed ojcem niema żadnych sekretów — opowiada mu o liście. Wprawdzie list podarł i kawałki rozrzucił na cztery wiatry, ale z głowy nie może sobie wybić jego treści. Uporczywie powraca ciągle myśl o nim. Spokój opuścił serce, nieufność zakradła się do niego.

Po południu idzie do małego domku, aby pójść z narzeczoną na przechadzkę. Rozmawiają i śmieją się, ale nie uszło uwagi Heleny, że weso-

łość Wawrzyna dziś jakaś sztuczna, że on jakgdyby przygnębiony. Parę razy pytała go o przyczynę, ale on zbywał pytania byle jaką odpowiedzią. Nakoniec nie może wytrzymać — zatrzymuje się, spogląda przenikliwie na narzeczoną, chcąc prawdę z oczu wyczytać i mówi niepewnym głosem:

— Helo, czy miałaś dawniej znajomości z jakimi młodymi ludźmi?

Jak ogłuszona słucha Helena słów tych z ust narzeczonego, śmiało wytrzymuje badawczy wzrok jego i pewnym głosem odpowiada:

— Nie!

— Nigdy, Heleno?

— Ależ nigdy, Wawrzynie. Co ci się stało? Wprawdzie przed rokiem starał się o moją rękę Andrzej Dzierzga, ale w obecności matki dałam mu znać, że nie może rachować na pomyślną odpowiedź, że ja nie mogę i nie chcę matki opuścić. To był jedyny taki wypadek w mem życiu, który, spodziewam się, za złe mi mieć nie możesz?

— Rozumie się, że nie. I czy już więcej ci się nie naprzykrzał?

— Nie, a jeżeli kto mówi inaczej, ten kłamie — odrzekła z oczami łez pełnemi.

— Nie gniewaj się na mnie, Helo — starano się bowiem oczernić ciebie.

— Przed kim?

— Przed twoim narzeczonym. Dziś rano otrzymałem z poczty list taki.

— Kto napisał ten list i gdzie on?

— Natychmiast go podarłem. A kto pisał — nie wiem, podpisał się: stary znajomy.

— A więc to list anonimowy z kłamstwem i oszczerstwem. Kto go napisał odpowie przed Bogiem. Ja jestem niewinna.

Dłużej nie mogła wytrzymać, załkała głośno, aż trzęsła się cała.

Żałował teraz Wawrzyn, że się wygadał i że nie zaoszczędził jej tego bólu.

— Chodźmy! — powiedziała Helena, uspokoiwszy się nieco.

— Przebacz mi, Helo, że na chwilę zwątpiłem.

Z uśmiechem podała mu rękę:

— Nie gniewam się. Widocznie ktoś nam pozazdrościł szczęścia naszego. Ale biada temu, kto kłamie.

— Helo, zapomnijmy o tym liście — nikomu o nim nie mówiłem i ty nic nie mów. Przebaczasz mi więc?

— Nie mam ci nic do przebaczenia. Ale chodźmy już, bo matka pewnie na mnie czeka.

Wracają. Próbują znowu rozmawiać wesoło, ale to im się już nie udaje, na sercu cięży jeszcze wspomnienie tej przykrości. Przyszli do jej matki. Młodzi starają pobudzić się do wesołości i cel swój osiągnęli, staruszka bierze udział w ich pozornej wesołości, nie podejrzewając, wiele przykrości mieli do zniesienia.

Wawrzyn bierze się znowu do swej pracy. Wie już, że list był oszczerstwem i że narzeczonej nie zarzucić nie można. A jednak musi się przyznać,

że lepiejby było, gdyby tego listu nie otrzymał wcale. Bo jednak nieraz mu się jeszcze przypomniał. Serce ludzkie bowiem tak jest nieobliczalne w swoich poruszeniach i, niestety, zło łatwiej ma przystęp do niego, niż dobre.

Nadchodzą żniwa — i ciężka praca od wczesnego rana do późnego wieczoru czeka rolnika. Wawrzyn rad, że wśród pracy łatwiej zapomina o liście; — wieczorem, gdy cały dzień się natrudzi, rad, że może udać się na spoczynek.

I Helena nie ma także chwili wolnej. Do zwykłych robót przybyły przygotowania do ślubu. Ponieważ jest niezamożna — bieliznę, suknie i t. p. sama wraz z matką szyje. Jesienią ma być ślub; na ten czas wszystko musi być gotowe.

I dziś siedzi przed otwartem oknem i szyje, choć to już wieczór — nie zauważyła nawet, że przyszedł jej Wawrzyn. Spostrzegła dopiero, gdy przywitał się z matką i wszedł do pokoju.

— To niespodzianka dla mnie, Wawrzynie — zawołała Helena wesoło, rumieniąc się.

— Wierzę, że to niespodzianka dla ciebie; także i dla mnie — odrzekł Wawrzyn chłodno i stanął pośrodku pokoju, wyciąga z kieszeni list i podaje go Helenie.

— Znasz ten list, Heleno? — pyta ostrym tonem.

— Nie, nie znam go — odrzekła zdziwiona. Zaczyna czytać:

Kochany Andrzej!

Ty wiesz, że jestem po zaręczynach z Wawrzynem Bielakiem, a więc nei pisz do mnie wię-

cej listów. Bardzo żałuję, że nie mogę być twoją, ale tybyś nie mógł nas ochronić od biedy i niedostatku. A moje zamążpójście za Bielaka przyniesie mi znacznie większe korzyści, które mi pozwolą zapomnieć o przykrości, że muszę ci odmówić.

Helena Zarębska.

— O Boże! — zawołała Helena, zbladłszy — i taki list miałabym ja napisać?

— A więc nie mam wierzyć, żeś ty ten list włożyła do fałszywej koperty i w ten sposób popadł w moje ręce? Czy on nie był przeznaczony dla Andrzeja Dzierzgi? — zapytał sucho Wawrzyn.

— Wawrzynie! Bóg świadkiem, że ja jestem niewinna. Nie wiem skąd ten list pochodzi — ja go nie pisałam.

Zakryła twarz rękami i rozplakała się. I matce na płacz się zbiera, że takie intrygi się robią przeciw jej dziecku i jej narzeczonemu.

— Czy mam wierzyć temu co mówisz? — pyta Wawrzyn spokojnie. — Chciałbym tego bardzo, bo ciężko mi wątpić o twojej prawdziwej miłości. Ale ta sprawa musi się wyjaśnić — inaczej wesela nie będzie.

Nie pożegnawszy się nawet wyszedł — nie umiał panować nad sobą; zbyt słaby miał charakter, aby wierzyć narzeczonej.

Helena siedzi jak nieprzytomna — nie działa na nią słowa uspokojenia matki. Po dłuższem milczeniu podnosi się i mówi:

— Jutro sobota — dzień Matki Najświętszej. Udam się na pielgrzymkę do Częstochowy i wynu-

rzę swe zale przed Matką Niebieską. Od ludzi nie mogę spodziewać się pomocy.

— Idź, w Imię Boże, dziecko moje — moje modlitwy będą ci towarzyszyły — dodaje jej odwagi matka.

Wczesnym rankiem wyruszyła Helena w drogę. Trzeba było iść kilka godzin — pot obficie spływał z jej czoła, nogi odmawiały posłuszeństwa. Lecz zdala już widać wieżę Jasnogórską. To dodaje jej nowych sił. Niezadługo znalazła się u celu.

Oczyściwszy sumienie w sakramencie pokuty, pokrzepiła się Chlebem Anielskim, a potem długo, długo klęczała i modliła się przed cudownym obrazem Matki Boskiej. Ciemna, łagodna twarz Bogarodzicy spoglądała na nią z takim spokojem, wlewała do serca tyle otuchy i ukojenia, że gdy wstała po paru godzinach, jakby ciężar jakiś spadł jej z serca i wracała pokrzepiona na duszy i na ciele, pewna, że Pocieszycielka strapionych nie opuści jej i najlepiej wszystkiemu zaradzi. Tymczasem upał się wzmagał, pot ją oblewał — nagle zerwał się wicher, czarna chmura zasłoniła słońce. Co chwila grzmiało i błyskało się, aż w końcu lunął deszcz rzęsimy. Schroniła się przestraszona dziewczyna pod drzewo, ale i ono jej nie osłaniało dostatecznie — po chwili przemokła do nitki. Gdy po pół godziny deszcz ustał, Helena wyszła ze swej kryjówki, ale ciężko jej było iść dalej, bo droga była męcząca. Nogi grzęzły w rozmięklej gliniastej ziemi, drżała od zimna. Dopiero późno wieczorem dobrnęła do domu. Położyła się zaraz do łóżka i niebawem dostała silnej gorączki.

Wezwany na drugi dzień lekarz skonstatował u chorej zapalenie płuc.

Dwa tygodnie przeleżała. Silna jej natura przebyła pomyślnie kryzys, ale z sił opadła zupełnie. Długo jeszcze leżała, albo siedziała, nie mogąc się niczem zajmować. Brak środków nie pozwalał na lepsze odżywianie i kupowanie wzmacniających lekarstw, któreby przyspieszyły wyzdrowienie.

Wawrzyn spowaźniał; siedział ze zmarszczonem czołem w swoim pokoju, gdy go ojciec uwiadomił o ciężkiej chorobie Heleny. Odwiedzali też obaj chorą i starali się ją rozrywać, ale Wawrzyn, pomimo to, że był pewien, iż narieczona nie ma nic wspólnego z listem, jednak nie chciał jej poślubić, póki nie wykryje sprawy tych listów.

— Wawrzynie — mówił pewnego wieczoru ojciec do niego — nie mam nic przeciw Helenie, przeciwnie lubię ją, ale ta historia z listami nie podoba mi się. Chętnie temu wierzę, że to wszystko oszczerstwo, ale dopóki się sprawa nie wyjaśni, mimowoli budzi się podejrzenie. Ta, która chce być panią w naszym domu, może być biedną, ale jej życie powinno być bez nagany. Tak już było zawsze w naszym rodzie i tak powinna pozostać. O weselu będzie można myśleć dopiero wtedy, kiedy niewinność Heleny stanie się niewątpliwą.

Wawrzyn nie sprzeciwiał się — widocznie podzielał zdanie ojca.

Magda, służąca Bielaków, wracała z pastwiska, z mlekiem. Po drodze spotkała się z Ludwi-

ką Demską, która wyszła w pole na przechadzkę.

— Co u was słyhać? — spytała Magdę.

— Co słyhać? — Coś u nas nie tak wesoło, jak bywało dawniej. I pan i panicz chodzą jacyś pochmurni. Zapewne te dwa nieszczęsne listy, które otrzymali, są tego przyczyną. A do tego choro-
roba Heleny Zarębskiej.

— Słyszałam o tem.

— Kto takie kłamstwa i oszczerstwa rozpowszechnia, odpowie kiedyś przed Bogiem — paplała dalej Magda, nie zwracając na to uwagi, że jej towarzyszka odwróciła się i schyliła głowę.

— A czyż te listy zawierają rzeczywiście nieprawdę? — pyta po chwili Ludwika.

— Tak jest. Helena twierdzi to i my wszyscy wierzymy temu — odpowiada stanowczo Magda.

— I pan twój także wierzy temu?

— Obaj — i ojciec i syn. Niestety — nie mają odwagi stanąć otwarcie w jej obronie; ich duma żąda dowodów i dlatego wesele się odkłada.

— A któżby to mógł te listy napisać?

— Zapewnie napisał je ktoś przez zemstę i nienawiść — mówiła Magda, wzruszając ramionami.

W sercu Ludwiki burzyło się. A więc oba listy nie osiągnęły należytego skutku: wszyscy wierzą, że Helena jest niewinna. Nie spodziewała się tego, aby wkońcu nie domyślili się, że to ona pisała, postanowiła rzucić podejrzenie na kogo innego.

— Czy czasem Andrzej Dzierzga ich nie napisał? — zapytała po chwili. — O ile wiem, on sta-

rał się o Helenę, ale otrzymał odmowę. Może w ten sposób chce się zemścić?

— Nie — to być nie może — odrzekła Magda.

— I ja także nie jestem pewna — dodała Ludwika obłudnie — ale ktoś taki musiał je napisać. Ktoś, kto nie miał z obojgiem styczności, nie mógł tego uczynić. A że tu zapewne zemsta grała rolę — to jest dość prawdopodobne.

— Tak, tak — ale ten spokojny, łagodny Dzierga — to niemożliwe... Chociaż... kto wie? A może...

— Muszę iść do domu — przerwała Ludwika. — Nie powtarzaj tylko nikomu, co między sobą mówiłyśmy.

— Nikomu nie powiem.

Ludwika odeszła z szyderczym uśmiechem i z pewnem zadowoleniem, bo widziała, że Magda zaczynała wierzyć jej przypuszczeniom.

Po upalnym dniu nastąpił miły i łagodny wieczór. Ludzie wracali z pola i cisza zaległa wokoło.

Poważny i zadumany, kroczy młody człowiek do swego mieszkania. Jest to Andrzej Dzierga, który pracował dziś, jak to i przedtem często się zdarzało, u Demskich. Westchnął głęboko i potarł ręką rozpalone czoło. Widzi światelko w chatce swej matki, do której wracał zawsze tak chętnie, ale dziś nogi jego ociężały, z ciężkiem sercem podchodził do domu.

Matka gotowała właśnie wieczerzę. Wiedziała, że syn zawsze punktualnie przychodzi.

— Dobry wieczór, matko!

— Dobry wieczór. Zapewne jesteś zmęczony — dzień był taki gorący.

— Tak... zmęczony... Oto masz mój zarobek.

— Dlaczegoż to dziś otrzymałeś pieniądze? — spytała zdziwiona matka. Przecież dziś piątek, a zwykle wypłacali w sobotę.

— Jakim sposobem się to stało — sam nie wiem. Wyniósł mi pan pieniądze ze słowami, że już więcej nie potrzebują moich usług.

— Dlaczegoż to? Zwykle do późnej jesieni u nich pracowałeś.

— Nie mogę pojąć, jaka tego przyczyna. I wszyscy jakoś tak nieprzyjaźnie na mnie spoglądali.

— Czemuż więc nie spytałeś, dlaczego cię odprawiono?

— Pytałem, ale otrzymałem odpowiedź: Idź i nie udawaj, że nie nie wiesz, a ja, Bóg świadkiem, nie wiem, w czym zawiniłem.

— Wierzę ci — odrzekła matka. — No siadaj i jedz!

— Dziś jeść nie mogę, jedzenie nie przejdzie mi przez gardło — taki ciężar mam na sercu; położę się wcześniej, może się uspokoję.

— No, dobrze, niech Bóg cię ma w swej opiece — dobranoc!

Długo leżał i rozmyślał Andrzej, jakaby mogła być przyczyna, że go pozbawiono pracy i zarobku.

Nie mógł zasnąć, aż dopiero o świtaniu zdołał się zdrzemnąć na chwilę.

Następne dni były dla niego także niepo-myślne. Nawet ci, którzy zawsze byli dla niego przyjaźni, nie chcieli go przyjąć, spotykali go nawet niechętnie. Jego miłość własna bardzo cierpia-ła: nie mógł sobie wytłumaczyć, co mogło w nich spowodować taką zmianę. Najgorzej, że nietylko sam na tem cierpiał: musiał bowiem myśleć i o utrzymaniu matki, której groziła nędza, jeżeli dłuższy czas nie znajdzie zajęcia.

W domku wdowy Zarębskiej Helena przycho-dzi pomału do zdrowia. Chora wstaje już z łóż-ka, codziennie parę godzin siedzi w fotelu i patrzy przez okno. O pogłosce, jakoby Andrzej Dzierz-ga przez zemstę pisał do jej narzeczonego, jeszcze nie słyszała. I dobrze się stało, bo byłaby się je-szcze więcej martwiła.

Tak siedziała pewnej niedzieli, gdy ktoś za-stukał do drzwi. Na głos matki „proszę”, wchodzi Wawrzyn. Mimowolny uśmiech zaigrał na twa-rzy chorej.

— Nie słyszałyście nawet, jak przyszedłem — rzekł Wawrzyn, śmiejąc się. — Jak twoje zdrowie, Helo?

— Dobrze — odrzekła matka — choć powoli, ale siły wracają.

Wawrzyn wyciągnął z zanadru butelkę wina i podał zdziwionej matce.

— Przyniosłem dla pokrzepienia chorej. Gdy skończy się, przyniosę drugą.

Helena poweselała, serce zabiło radośnie z wdzięczności dla narzeczonego. Czy to ma być znakiem, że przekonał się o jej niewinności?

— Jeszcze coś nowego muszę wam powiedzieć — mówi po chwili Wawrzyn.

— Co takiego? — zapytały z ciekawością matka i córka. — W naszej wiosce odbędą się misje, mówił mi to proboszcz.

— Misje — zawołała Helena i oczy jej zajaśniały. — O, gdybym mogła wziąć w nich udział!

— To szczęście i błogosławieństwo dla naszej wioski — dodała matka — niejedno zło się naprawi.

Znaczyco spojrzała córka na matkę:

— Daj to Boże! — wyrzekła.

— Przyjedzie za dwa tygodnie trzech księży Redemptorystów — ciągnął dalej Wawrzyn. — Nie opuszczę żadnej nauki.

— A ja będę musiała siedzieć w domu — skarżyła się Helena — a takbym chciała słuchać tych kazań. Przynajmniej ty mi rozpowiesz treść nauk, matko.

— Dobrze, Helo. Przed 20 laty byli tu Franciszkanie. Śliczne kazania mówili, wzruszyły one wszystkich. Wielu płakało i żałowało. Skradzione rzeczy zwracali właścicielom, potwarze odwoływali — święte to były czasy!

— Może i tym razem błogosławieństwo przyniosą — dodał Wawrzyn.

— Także i nam! — przemówiła Helena i łzy zakręciły się jej w oczach — może miała nadzieję, że misje i jej szczęście przyniosą i niewinność jej okażą.

Rozpoczęły się misje. Podczas każdej nauki był kościół przepełniony. Niejedno zło było już

naprawione, w niejednej rodzinie nastąpiła zgoda, przedtem zakłócona. Jedno serce tylko pozostawało twarde — Ludwika Demskiej. Wprawdzie chodziła na nauki, bo jej nieobecność zwróciłaby ogólną uwagę, udawała też pobożność i pokorę, ale w sercu jej gotowały się namiętności, choć sumienie jej wyrzucało: „Zgrzeszyłam” — tak myślała — „i muszę się wyświadczyć. Chętniebym to uczyniła, aby mieć spokój, gdybym tylko nie potrzebowała odwoływać. Co powiedzieliby o mnie ludzie? Nie, nie zniosłabym tego wstydu”. W ten sposób nakazywała milczenie natarczywemu głosowi sumienia.

W środę wieczorem znowu wszyscy zebrali się na naukę. Misjonarz rozpoczął ją od słów: „Nie będziesz dawał fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu.

Dreszcz przeszedł po ciele Ludwiki. I gdy spojrzała na ambonę, wydało jej się, że oczy kaznodziei z wyrzutem na nią są zwrócone. Zamknęła oczy, ale nic to nie pomogło. Uszu nie może zamknąć, a kaznodzieja srogo piętnuje grzechy przeciw przykazaniu ósmemu, lecz zarazem wskazuje z miłością na dobrego Pasterza — Jezusa, który i największego grzesznika łaskawie przyjmuje, jeżeli tylko ten szczerze żałuje.

Kazanie skończone. Wszyscy rozchodzą się do domu. Tylko Ludwika klęczy jeszcze zadumana w kąciку. Jej serce drży pod wrażeniem słów kaznodziei. A sumienie coraz silniej się odzywa; promień łaski do niego przenika. Wraca do domu. Ze łkaniem rzuca się na kolana i woła: „Zgrzeszy-

łam — chcę wyznać i pokutować. Boże, bądź miłościw mn ięgrzesznej!”

Na drugi dzień rozeszła się przerażająca wieść po wiosce, że Ludwika spadła przy pracy w stodole na boisko i jest umierająca. Ten sam misjonarz, który miał w przeddzień naukę, przygotowuje ją na śmierć. Długo trwała spowiedź — poczem wpuszczono wszystkich do umierającej. Spokój rozlewał się na jej twarzy, gdy przyjmowała Zbawiciela do serca swego. Obecni od łez wstrzymać się nie mogli. Chciała jeszcze przemówić, ale strumień krwi wylał się z ust jej i zagłuszył słowa — po chwili już nie żyła.

Wawrzyn przechadzał się po ogrodzie, gdy furtka się otwarła i wszedł misjonarz.

— Czy to pan jest narzeczony Heleny Zarębskiej? — zapytał.

— Tak jest, ja, ojcz.

— Proszę mię zaprowadzić do swojej narzeczonej — mam do niej ważny interes.

— Z chęcią — odrzekł Wawrzyn.

— Czy to pani jest Helena Zarębska, narzeczona tego pana? — zapytał ją, gdy przyszli do niej.

— Tak jest, ojcz — odrzekła Helena, siedząc we fotelu.

— Przychodzę z polecenia zmarłej wskutek nieszczęśliwego wypadku Ludwiki Demskiej, aby prosić w jej imieniu o przebaczenie za krzywdę, którą wam obojgu wyrządziła.

— Krzywdę? — zapytała zdziwiona Helena, patrząc na matkę.

— Czy nie zaszła tu jaka pomyłka, ojcze? — zapytał Wawrzyn — my nic nie wiemy...

— Nie — to nie pomyłka. Chodzi tu o listy anonimowe. Przed śmiercią zeznała mi nieboszczka, że ona je pisała, jeden z nich na imię Andrzeja Dzierzgi, aby na niego padło podejrzenie. Prosiła mię, aby w jej imieniu prosić was o przebaczenie. O zadośćuczynieniu pomyśli jej ojciec.

— A więc Ludwika to zrobiła? — łzy pokazały się w oczach Heleny.

Wawrzyn stał milczący — jak gromem rażony. Tego się on nie spodziewał. Uczucie gniewu odezwało się w jego sercu. Ale ksiądz misjonarz ciągnął dalej:

— Spodziewam się, że przebaczycie umarłej. Nieprawdaż?

— Przebaczam jej z całego serca! — zawołała Helena wzruszona — oby jej Bóg przebaczył!

— Niech Bóg jej da wieczny odpoczynek! — mówił Wawrzyn, ociągając się. — Wiele nam zmartwienia przyczyniła, przeżyliśmy gorzkie chwile — ale niech już jej Bóg przebaczy!

Ojciec misjonarz poweselał i rzekł:

— Dziękuję wam w imieniu nieboszczki. Zapewne Sędzia Najwyższy będzie dla niej łaskawy, gdyż z wielką skrucą i cierpliwością zniosła boleści i śmierć jako zadośćuczynienie za swoje występki. Życzę wam z całego serca błogosławieństwa Bożego. Oby już nigdy oszczerstwo nie zamąciło waszego spokoju! A teraz proszę zaprowadzić mię do mieszkania Andrzeja Dzierzgi, bo

i jego mam prosić o przebaczenie w imieniu zmarłej.

Obaj mężczyźni poszli. Helena, uszczęśliwiona, że wszelkie podejrzenia na nią zostały usunięte, złożyła ręce i zawołała: „Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie!”

Na pogrzeb Ludwika zebrało się wiele osób. Wprawdzie stały się wiadome jej przewinienia, ale też widziano jej skrucę i wszyscy jej przebaczyli.

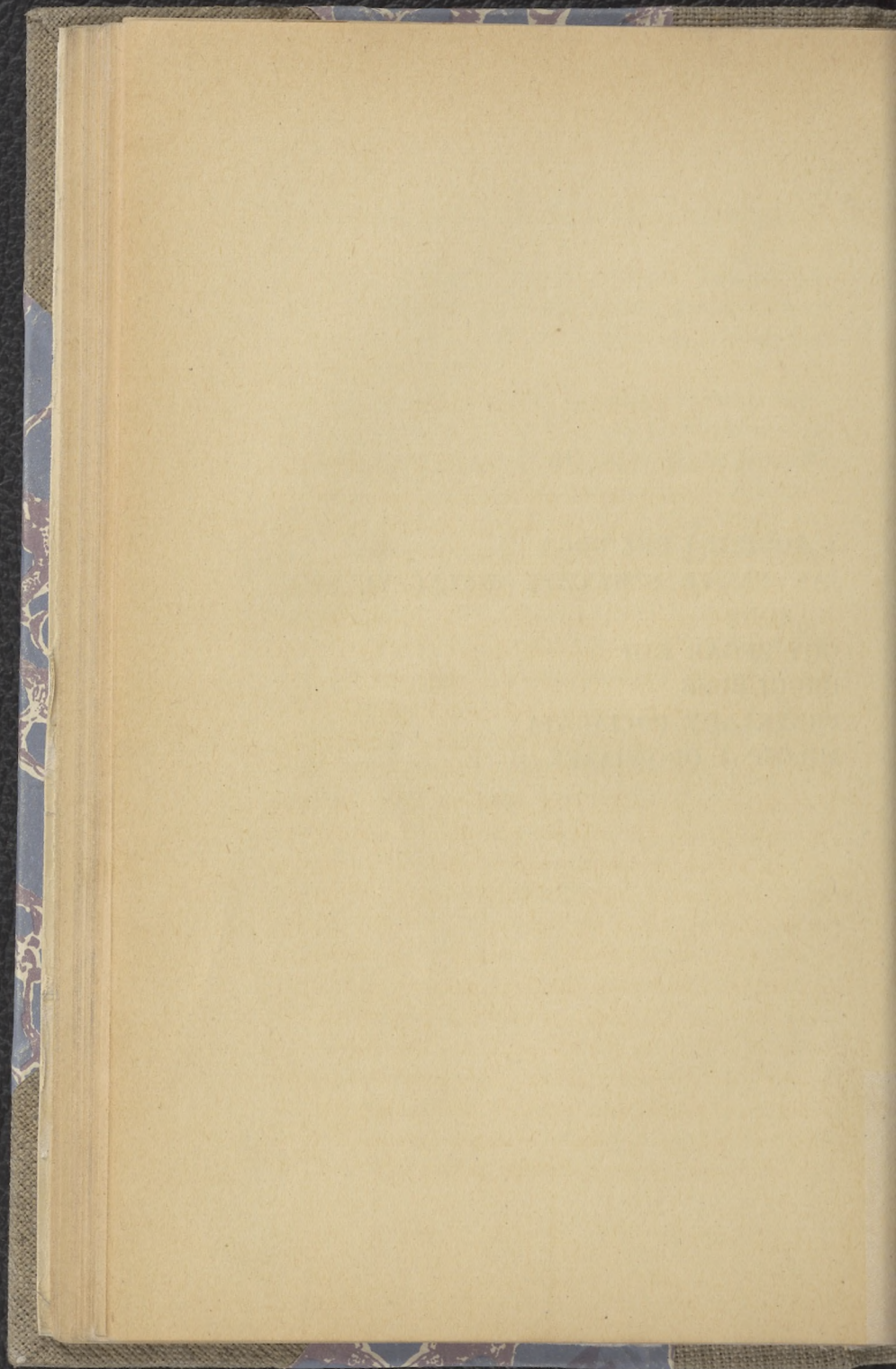
Stary Demski stał się smutnym i przygnębionym — prawie codzień chodził na cmentarz, aby pomodlić się na grobie córki. Przyjął znowu Andrzeja Dzierżgę i, aby go wynagrodzić za krzywdę mu wyrządzoną darował mu kawałek pola.

Na wiosnę odbyło się wesele Wawrzyna z Heleną, na której twarzy malowało się szczęście i radość.

Po weselu udali się młodzi małżonkowie na cmentarz i pomodlili się na grobie Ludwika, aby okazać, że jej z całego serca przebaczyli.

II.

Z BOGIEM I BEZ BOGA
JAK PAWEŁ SZEWCZYK WYLECZYŁ SWĄ
ŻONĘ
GDY ZEGAR BIJE
DROGI BOŻE
PRZYKŁADY POCIĄGAJĄ
MIŁOŚĆ I OBOWIĄZEK



Z Bogiem i bez Boga

W wiosce N. odbywał się pogrzeb pewnej kobiety. Za trumną szedł przygarbiony człowiek — mąż nieboszczki. 30 lat chorowała, aż wkońcu śmierć wybawiła ją od cierpień.

Rok tylko była zdrowa po zamążpójściu. Gdy wychodziła zamąż, była zdrową, kwitnącą dziewczyną — nikt nie przypuszczał, że tak ciężkie będzie jej życie. Młoda para urządziła się w swym domku z jaknajpiękniejszymi nadziejami na przyszłość. Gdy żona poczuła się matką, rozmawiała z mężem o przyszłym dziecku, o szczęściu, które do ich domu zawita. Ale, niestety, dzień urodzin dziecka, które się okazało niezdolnem do życia, był dla młodej matki początkiem cierpień. Dziecko, w kilka godzin po urodzeniu, zmarło. Zamiast radości, dom okrył się żałobą. „Nic to”, pocieszała się żona, „za rok doczekamy się drugiego aniołka”... Wiedziała jak mąż pragnął mieć dzieci. Ale czas upływał, a ona nie przychodzi do zdrowia. Mąż czynił, co mógł, aby jej pomóc: udawał się do kilku lekarzy, kupował drogie lekarstwa, ale daremnie, przyszła chwila, gdy się dowiedział, że jej wogóle pomóc nie można. Pewien sławny, doświadczony doktor powiedział mu, że

ona długo będzie chorować i, że niema dla niej ratunku. Straszny to był wyrok: będzie musiał ciągle patrzeć na jej cierpienia, ciągle się obchodzić bez gospodyni w domu i dziecka się nie doczeka. Nie miał krewnych — ród ich zatem był na wymarcu.

Z ciężkich chwil korzysta szatan, aby podsuwać myśli występne. Ale mąż był dobrym chrześcijaninem, poddał się woli Opatrzności i nie szemrał. Starał się ulżyć cierpieniom żony i nie okazywał jej, ile sam cierpi. Z Bogiem rozpoczął dni radosne, z Bogiem też i z Jego pomocą trzeba znosić cierpienia. 30 lat z miłością pielęgnował chorą. Często nie dosypiał nocami, gdyż w ostatnich latach cierpienia jej zwiększyły się i stale była przykuta do łoża. Rozczulający był widok, jak w dni pogodne wynosił ją na słońce i siedział koło niej, bawiąc rozmową. Cała wieś budowała się jego postępowaniem. Tak — to była prawdziwa miłość małżeńska, pojęta po chrześcijańsku. Małżonkowie przywiązali się do siebie jeszcze bardziej i znaleźli szczęście swoje, może nawet większe niż w pierwszym roku po ślubie.

Teraz umarła droga żona — stary mąż był niepokieszony. Tak bardzo teraz czuł się samotnym, tak pusto było w jego domu... Tylko myśl, że jej teraz lepiej w niebie, pocieszała go trochę. Pocieszał się, że Bóg i jego powoła, a wtedy już nigdy nie rozstaną się z sobą. Tam nie będzie cierpienia, tylko wieczna szczęśliwość.

Czyż to nie cudnie piękny obrazek prawdziwie chrześcijańskiego małżeństwa?

* * *

W pięknych apartamentach pierwszorzędnego hotelu odbywała się uroczystość zaręczyn bogatego fabrykanta z młodą córką lekarza. Poznali się w podróży. Znajomi fabrykanta kręcili głową, że on — taki bogaty, żeni się z niezamożną panną, której rodzina żyje skromnie: ojciec zarabia pracą na życie. Nic to nie pomogło, ponieważ ta odznaczała się wielką pięknnością i podobała się swemu narzeczonemu.

Chociaż matka Heleny nie była wzorową katoliczką, jak i cała rodzina, to jednak niemile ich dotknęło, że mąż chce się zadowolić tylko ślubem cywilnym: „Jestem wolnomyślny — nie chcę podlegać żadnym przepisom Kościoła”, mówił.

Cóż robić? takie bogactwo i takie stanowisko! A przytem młodzi bardzo się pokochali. A więc uroczystość odbyła się hucznie i wesoło w hotelu, gdyż w skromnem mieszkaniu lekarza, nie można by jej było urządzić tak wspaniale.

Po kilku miesiącach odbył się i ślub — krewni lekarza, ludzie religijni, nie byli na nim obecni. Odrazu powstały kwasy w rodzinach. Ale młoda żona tem się nie martwiła — opływała w szczęściu i radości.

Po długiej podróży poślubnej państwo młodzi wrócili do domu fabrykanta, urządzonego z przepychem. Młoda żona czuła się jak królowa z bajki: zdało się jej, że żyje w zaczarowanym królestwie. Uroczystość następowała po uroczystości; a wszystko to urozmaicane było podróżami z mężem.

Przeszły 3 lata, nadszedł czas bardziej spokoj-

ny, gdyż Helena miała zostać matką. Mąż cieszył się, że doczeka się spadkobiercy swych dóbr i bogactw. Czekają ich jednak rozczarowanie: po kilku miesiącach nastąpiło poronienie. Helena wróciła prędko do zdrowia, szczególnie po podróży na Riwierę.

Ale po roku nastąpiło to samo i powtórzyło się aż cztery razy.

Helena wynędniała i niktby już nie poznał w niej tej tak pięknej poprzednio panny. A co gorsze: po każdym takim zdarzeniu wzrastało niezadowolenie małżonka — jego stosunek do żony bardzo się zmienił, zaczął szukać rozrywki w towarzystwie młodych przyjaciół.

W szóstym roku po zamążpójściu Helena musiała być operowana. Operacja udała się, ale lekarz zapowiedział, że nigdy dzieci mieć nie będzie.

Mąż, dowiedziawszy się o tem, wyjechał tegoż dnia, kilka miesięcy nie wracał i nie pisał do żony; ta dowiedziała się wkońcu, że mąż stara się o rozwód, ponieważ chciałby mieć zdrową żonę i doczekać się dzieci. Gdyby był wiedział, że ona jest chora — nie byłby się z nią żenił.

Był to wielki cios dla Heleny. Więc to miała być ta miłość, na którą tak liczyła! Gdy wychodziła zamąż była przecież zdrową i kochającą małżonka, i on ją kochał, a teraz, gdy jest chora i wyniszczona, znać jej nie chce! Mąż zaś rozumował: „Komu pozostawić swoje bogactwa, skoro żona nie będzie mieć dzieci? Jestem zdrow i młody — wszystkie drogi przede mną otwarte.

Miłość? Wierność? ach — to są staromodne pojęcia”.

Czy Helenie otworzyły się oczy? Czy zrozumiała, co to jest ślub bez Boga? Tego nie wiem — wiem tylko, że tegoż dnia wróciła do rodziców i żyje tam smutna i rozgoryczona.

Jak Paweł Szewczyk wyleczył swą żonę

Gdy Paweł Szewczyk powrócił z wojny, nie poznał swej żony. Lat kilka sama domem rządziła, nauczyła się samodzielnie postępować, a tu naraż trzeba czyjejs woli ulegać. To niemożliwe. Czasami wprawdzie potrafiła zgadzać się z mężem, ale częściej ich zdania bardzo się różniły, a wtedy wywiązywały się sceny, wcale nie budujące. Pani Agata płakała i narzekała, że jej Paweł jest tyranem, jemu zaś zdawało się, że żona z każdym dniem więcej hardą się staje. Tyle lat tęsknił do swego domu rodzinnego, a tu okazało się, że jest może gorzej niż na wojnie, w kraju nieprzyjacielskim. Bolał nad rozterką, głównie ze względu na dzieci, pomimo wszelkich ostrożności, nieraz bywały świadkami ich kłótni.

Pewnego dnia radził się swego brata, co przedsięwziąć, aby ten stosunek z żoną poprawić.

— Wysmagać ją porządnie, gdy nie chce słuchać — odpowiedział krótko i węzłowato.

Paweł pokręcił głową; był na tyle dobrze wychowany, że nie chciał bić swej żony. Kilka dni chodził zamyślony. Aż wkońcu postanowił pójść do klasztoru, zapytać Ojca Onufrego o radę. Słyszał, że jst rozumny i w każdej potrzebie radą słu-

żyć umie. Wprawdzie nie znał go i nigdy nie był w klasztorze, ale zdobył się na odwagę i poszedł. Przecie tyle razy był narażony na większe niebezpieczeństwa na polu bitwy, czyż ma się obawiać zakonnika?

Na progu spotkał go braciszek z potężną brodą.

— Czy mogę widzieć Ojca Przeora?

— Proszę wejść, zaraz mu powiem.

Paweł wszedł do rozmównicy. Czuł się trochę skrępowanym. Jak ma rozpocząć? Czyż nie wstyd skarżyć się przed kimś, że nie potrafi dać sobie rady ze swoją żoną? Szkoda, że lepiej w domu nie pozostał. Wtem usłyszał czyjeś kroki, drzwi się otworzyły, i wszedł O. Onufry. Zmieształ się Paweł. Sam nie wiedział, co mówić.

— Czem mogę służyć — przemówił zakonnik.

Paweł wyjąkał nieśmiało, jak uczeń:

— Ach, Ojczy, nic ważnego, ale z moją żoną nie dobrze.

— Co? czy jest chora?

— To nie — zdrowa jak ryba. Głos jej bardzo potężniał w ostatnich latach, a także jej charakter.

— Tak, tak... to są dwie wielkie zalety: dobry głos i silny charakter. Na to chyba nie potrzebujesz się użalać — mówił O. Onufry nawpół żartem.

Paweł śmiał się w duszy. Jakiż to ksiądz niedoświadczony — nie zna świata. I u niego chciałem rady zasięgnąć? Lepiejbym zrobił, gdybym wcale nie przychodził.

— Ojciec mnie nie rozumie — próbował tłumaczyć. Głos jej przybrał ton komendanta, a jej wolę można nazwać kaprysem. I proszę zauważyć, że ja jestem mężem. A gdzie dwoje chce rozkazywać... nie, tam niema ładu...

— Tak... tak... to prawda. Gdzie dwa krzemienie o siebie uderzają, tam pokazuje się ogień. A czy próbowałeś dobrocią dojść z nią do ładu?

— I dobrocią i złością, ale nic nie pomaga.

— Jakież środki wypróbowałeś?

— Codziennie prawilem jej kazanie, aż ochrypłem...

O. Onufry uśmiechnął się:

— Widzisz — z kazaniem — to taka rzecz — u ludzi, którzy nie mają do tego powołania... Najczęściej dobre nauki padają na drogę i bywają rozdeptane... Kiedy u nas to się zdarza, to co już mówić o suchem drzewie...

— Ale czyż może Ojciec wymagać, abym był pod pantoflem? — odrzekł żywo Paweł.

O. Onufry uderzył ręką po stole:

— Nie, do tego nie możesz dopuścić — powiedział krótko i stanowczo.

— A więc cóż mam robić?

— Początkowo stanowczo z nią postępować. Zęby jej pokazać.

— Czy Ojciec myśli, że to pomoże?

— Spróbuj, jeżeli nie pomoże, przyjdź za dwa tygodnie.

Paweł wracał bez przekonania o skuteczności rady zakonnika, bo znał swoją Agatę. Ona jest

tak pewna siebie, że ma zawsze rację, iż nie podda się i bronić się będzie do ostatniej chwili.

Po dwóch tygodniach Paweł znowu zjawił się w klasztorze.

— Jakże się powodzi? — pyta Ojciec Onufry.

— Tak, jak to przewidziałem. Moja Agata ma twardą głowę, jak te mury klasztorne, nie da się ani ująć, ani przełamać.

Ojciec Onufry pomyślał trochę:

— Tak, tak.. te kobiety... te kobiety... — powtórzył parę razy.

— Ale co robić, Ojczy? — nalegał Paweł. — Tak dalej być nie może. Nie mogę znieść już tych ciągłych kłótni w domu.

— W takim razie niema innej rady, jak ustąpić.

— Co...o...o? — zawołał Paweł żywo, zrywając się z krzesła.

— Trzeba, żebyś ustąpił.

— Ojciec chyba żartuje?

— Nie, mówię zupełnie na serjo — powtórzył ksiądz. Kiedy opór nie pomaga, trzeba spróbować przeciwnego sposobu.

Paweł pokręcił głową.

— Idź tylko spokojnie do domu — mówił dalej O. Onufry. — Za każdym razem, kiedy żona znacznie komenderować i chce mieć rację, mów po prostu: Bardzo chętnie, droga żono, ty masz rację. I zawsze, gdy zechcesz, przyznaję, że masz rację, z prawdziwą przyjemnością.

Paweł zaczął śmiać się, aż wziął się pod boki.

I oczywiście, również mało sobie obiecywał z tej rady, jak i z poprzedniej.

— I czy mam znowu przyjść za dwa tygodnie? — zapytał.

— Jeżeli zechcesz — odrzekł Ojciec Onufry — ale koniecznej potrzeby niema — ten środek pomoże.

Paweł wracał powoli do domu. Ale przed nową walką postanowił zajść do brata i opowiedzieć mu, jakie zabawne pomysły ma O. Onufry. Śmiali się też obaj, aż się trzęśli.

— Widać z tego, że księża nie mają zrozumienia na potrzeby żonatego człowieka — mówił brat Pawła. — Ale już przewiduję naprzód, że niema wkońcu innej rady, jak baty. To ci już raz radziłem.

Paweł zamyślił się. Pożegnał się prędko i wrócił do domu. Ledwo drzwi otworzył, żona stała już z twarzą zasępioną:

— Cały dzień biegasz, a mieliśmy dziś pójść z wizytą do siostry — rzekła z niezadowoleniem.

Paweł zawahał się: jakiego środka ma użyć z tych kilku, jakie mu radzono. Zdecydował się jednak pójść za radą O. Onufrego — chociaż dobrane go to bawiło. Powstrzymał więc swój gniew i odrzekł spokojnie:

— Masz rację, Agato. Postaram się pośpieszyć, zaraz przygotuję się do wyjścia.

W chwilę potem szli już do sąsiedniej wioski. Przechodzili obok pola z kartoflami. Agata zaraz zaczęła zrzędzić:

— A nie mówiłam, że ta ziemia nie odpowiednia jest na kartofle. Teraz będziemy za to pokutować. Właśnie teraz, kiedy wszystko takie drogie. Ale to tak zawsze, ty musisz mieć zawsze rację, jak wogóle wszyscy mężczyźni.

— Nie, droga żono, teraz widzę, że ty masz rację. To ja źle zrobiłem — odrzekł Paweł z udanym spokojem. Zaczęło go to już bawić.

Agata spojrzała na niego pytającym wzrokiem, zdziwiona, że mąż w ten sposób do niej przemawia. Szła dalej śmiałym krokiem z zadowoleniem, że ona ma rację.

Doszli do promu, który ich miał przewozić na drugą stronę rzeki. Ale zanim zbliżyli się do niego — prom odbił od brzegu, tak, że trzeba było długo czekać, aż wróci i znowu odjedzie. Agata wybuchnęła gniewem:

— Widzisz, stary głupcze, co narobiłeś! Gdybyś wrócił wcześniej nie potrzebowalibyśmy tu teraz stać, jak bałwany.

— Masz rację, Agato — odrzekł Paweł skromnie — bardzo mi przykro. Będę się starał na przyszłość, aby się to drugi raz nie powtórzyło. Zobaczysz, że będę już zawsze robił to, co zechcesz.

Tego już było nadto nawet i dla Agaty. Spojrzała na niego ze zdziwieniem i pomyślała:

— Czy nie wypił on gdzie dziś za wiele?

Nakoniec doczekali się promu i przyszli do siostry, która ich serdecznie przyjęła. Wszyscy zabawiali się rozmową w największej zgodzie. Wkońcu zaczęto mówić o drożynach. Agata nie

wytrzymała i zaczęła rozwodzić skargi na męża, że sprzedał w przeszłym tygodniu krowę za tanio.

— Ja byłam temu przeciwna.

— Tak, droga żono — odezwał się Paweł skromnie. — Gdy innym razem będę co sprzedawać, posłucham uprzednio twojej rady?

Agata była coraz więcej zdziwiona. A gdy się to zaczęło codziennie po kilka razy powtarzać, i mąż ciągle jej powtarzał, jaką to mu przyjemność sprawia przyznawać rację we wszystkim — zaczęła wówczas doznawać dziwnego wrażenia. Dopóki tę rację wywalczać musiała, sprawiało jej to pewną radość, lecz gdy tak — bez żadnego oporu, samo spadało, zaczęło się to jej trochę dziwnem wydawać. Czasem przychodziło jej na myśl, że rozum męża przez wojnę został nieco nadwyrężony. Ale tego nie mogła zrozumieć, dlaczego w innych okolicznościach mówi tak rozsądnie i spokojnie. Nie mogła tej zagadki rozwiązać. Zamiast cieszyć się — smutek ją ogarniał. Aż wypadek jej dopomógł: spostrzegła raz, gdy w oczach męża zaigrał figlarny uśmiech, jakgdyby z niej chciał zażartować. Tu się domyśliła wszystkiego. Ponieważ, mimo swych wad, była kobietą rozumną — wystarczyła taka drobnostka, aby zrozumiała, o co chodzi. Wszystko się jej wyjaśniło i postanowiła odpowiedni wniosek z tego wyciągnąć.

Prędko nadarzyła się okoliczność. Gdy mąż jej znowu zaczął rację przyznawać, ona roześmiała się wesoło i zwołała:

— Aha, drogi mężulku, teraz już dosyć. Przyłapałam ciebie. Już za długo mam zawsze rację,

od dziś dnia przyszła kolej na ciebie. Spojrzał na nią przenikliwie i przekonał się, że ten środek podzielał. Widział, że odzyskał swą dawną, spokojną, rozsądną Agatę, wierną towarzyszkę życia, taką, jaką była przed wojną. Roześmiali się oboje, jakgdyby po dłuższem niewidzeniu pierwszy raz się zobaczyli. Zdawało im się, jakgdyby dotychczas, przez czas dłuższy jakaś ściana ich oddzielała.

Po paru dniach zaszedł Paweł do klasztoru. O. Onufry, gdy ujrzał jego rozpromienione oblicze, nie potrzebował nawet pytać, jak mu się powiodło.

— A co, czy pani Agata bardzo się na mnie gniewała, gdy się o naszym spisku dowiedziała? — zapytał, śmiejąc się.

— Przeciwnie, obiecała nawet, że jak braciшек z klasztoru chodzić będzie po kweście, hojną mu złoży ofiarę.

— A co, czy żona i nadal zachowa swoje prawo pierwszeństwa?

— Tymczasem tak. Zresztą teraz niema różnicy zdań między nami. A jeżeli nawet to się zdarzy, natychmiast się godzimy.

— To dobrze — rzekł O. Onufry, podając mu rękę. — A jeżeli będą kiedy jakie nieporozumienia, przychodź natychmiast; zawsze gotów będę na nowo się z tobą sprzysięgać.

Gdy zegar bije

Zegarmistrz January Szydłowski był ogólnie znanym i lubianym majstrem. Nie był on zwykłym majstrem, ale prawdziwym mistrzem w swoim fachu. Gdy umarł, pozostawił swym spadkobiercom piękny, wielki dom, ładnie umeblowany i magazyn z wielką ilością cennych zegarków.

Pozostałej po nim wdowie najbardziej się podobał wielki zegar ścienny — arcydzieło sztuki jej Januarego. Znawcy i amatorzy ofiarowali za niego bajeczne sumy, ale nie chciała go sprzedać.

Czternaście lat już przysłuchiwali się wszyscy domownicy jego muzyce, a zawsze z niesłabnącą radością słuchali. Gdy zegar bić zaczynał, wszyscy obecni przestawali mówić, jeść, lub pracować i przysłuchiwali się pieniąm zegara. Nawet dziecko słuchało uważnie i przestawało płakać, gdy bić zaczynał.

Nieboszczyk January wymagał, jeszcze za życia, szacunku dla swego arcydzieła, co żona i syn, póki żył, spełniali, a i teraz, po jego śmierci, za każdym uderzeniem zegara, wspominali o zmarłym, którego arcydzieło przemawiało do nich wiecznie żywym głosem.

Syn Szydłowskiego, także January, pojął za

żonę młodą i ładną osobę, ale nieco uporną i sprzeciwłą, co w sercu staruszki matki budziło pewną obawę o przyszłość młodych małżonków. Bo i młody January, chociaż umiał długo milczeć i być cierpliwym, gdy raz już w gniew wpadł, nie mógł się pohamować — wiedziała zatem dobrze matka, że dla niego odpowiedniejszą byłaby żona bardziej ustępliwa. Dotychczas słońce wzajemnej miłości przyświecało młodemu małżeństwu. Ale co będzie później — matka nieraz się tem martwiła.

Młoda mężatka chciałaby niejedno w tym starym domu do góry nogami przewrócić, a spokojna, lecz stanowcza, odmowa matki i syna oburzyła ją i przynajmniej drobnemi ukłuciami starała się okazywać swe niezadowolenie.

I tak np. w obecności matki wysmiewała się z dziwnego zwyczaju milczenia, gdy zegar bije, ponieważ, po pierwsze, zanim zegar uderzy pomału 12 razy, co zawsze podczas obiadu się zdarzało — zupa ostygnie podczas tak długiej przerwy, a, powtóre, dziś, gdy na świecie każdą minutę czasu ludzie starają się wyzyskać, strata to czasu niepowetowana. Młoda mężatka pochodziła z G., była córką bardzo ruchliwego fabrykanta i pośpieszna robota maszyn przeniknęła w jej krew i kości. Starała się więc wnieść w ten stary, spokojny i poważny dom, ducha nowoczesnego pośpiechu i sprężystości.

Podczas jej żywych rozpraw na ten temat, staruszka matka wpatrywała się tylko w jej oczy z powagą i z wyrazem siły woli. Przed tym wzro-

kiem młoda musiała ustąpić, czuła swą niższość i małość, mimo, że przybyła z wielkiego miasta i uważała siebie za lepiej obeznaną z życiem.

Wkrótce potem przyszło między młodem małżeństwem do większej sprzeczki. Rozpoczęło się już przed obiadem. Nie krępując się obecnością posiwiącej matki, swarzyli się coraz to gwałtowniej, chociaż, jak zwykle bywa w sporach między zakochanymi, oboje racji nie mieli. Ale żadne z nich nie chciało ustąpić.

Pomału rozlewała matka drżącymi rękami zupę. Małżonka odpierała zarzuty płaczliwym już głosem, jakgdyby gotowa była za chwilę wybuchnąć płaczem. Z ust małżonka, zdawało się, że lada chwila wyrwie się zjadliwe słowo, które miało boleśnie ukłuć ukochaną jeszcze przeciwniczkę.

Już otwierały się usta jego, aby wymówić pierwsze obraźliwe słowo, gdy wtem wydobył się z zegaru dźwięk, wszystkim dobrze znany, jakgdyby chciał odetchnąć całą piersią — za nim popłynęły dalsze, pełne łagodne tony i harmonijnie unosiły się po całym pokoju. Zanim przebrzmiały 12 tonów — jeden za drugim — gniew Januarego począł stopniowo ostygąć, krew odpłynęła od głowy, ostre słowo wstrzymało się i skryło napowrót wstydliwie — miał czas spojrzeć na strapioną twarz matki, zawsze przezeń ubóstwianej.

Zegar zamilkł. Zapanowało uczucie spokoju wśród trojga osób, siedzących przy nakrytym stole. January nie wymówił obelżywego słowa i spokojnie podniósł łyżkę zupy do ust swoich. Gdy matka wstała na chwilę do innego stolika, aby

przygotować drugie danie, January uściskał nieznacznie rękę żony i twarz jej rozjaśniła się. Żal ścisnął jej gardło i poczęła płakać.

— Nie płacz, droga! — prosił czuły małżonek, który o gniewie dawno już zapomniał.

Spotkawszy się z jego wzrokiem proszącym i łagodnym, młoda małżonka rozczuliła się i tembardziej się rozpłakała, ale tak, jak płacze dziecko szczęśliwe, że uniknęło wielkiego niebezpieczeństwa.

Matka dłuższy czas, niż zwykle, nie odwracała się i stała plecami do nich zwrócona. Gdy się odwróciła, słońce już jaśniało w całym swym blasku.

January poszedł do fabryki. Pozostały obie kobiety i, siedząc z robotą przy stoliku, rozpoczęły rozmowę wspomnieniem dawnych czasów.

„Nikt nie zna historii tego zegara, dziecko moje”, opowiadała matka. „Wcześniej wysłałam zamąż, i mąż mój był jeszcze młody — gdy, pewnego razu, rozpoczęliśmy po raz pierwszy sprzeczkę — niestety, zdaje się, że w każdym małżeństwie, chociażby najbardziej dobranem, musi ona, pierwiej lub później, wybuchnąć. A mąż mój, choć dobry człowiek, był popędliwy, jak i twój mąż. Gorzkich słów nagadał mi wtedy wiele. Ale później, gdy ochłonął, żal mu się zrobiło... — tacy to są zwykle ci wybuchowcy.

W pierwszą rocznicę ślubu podarował mi ten zegar. Długo nad nim dłużał i grzebał, wiele godzin pracy w fabryce opuścił, aby dla mnie ten podarunek wykończyć, aż wkońcu wykonał to arcydzieło — ten zegar, który widzisz i słyszysz.

Powiedział mi, dając go, te słowa: „Miły, łagodny jest dźwięk tego zegara, jego dwzon powolny, spokojny, z dłuższymi przerwami bardzo jest pożyteczny. Niejedno złośliwe słowo ulotni się, gdy przysłuchujemy się mimowoli, już nie wrzucemu wewnątrz gniewowi, ale łagodzącemu dźwiękowi zegara. Uderzenia jego, to głos czasu, który powiada: Opamiętaj się, człowieku! Życie takie krótkie, nie zaprawiajże go goryczą. Tylko chwili opamiętania się potrzeba w gniewie i w urojonej nienawiści!”

Temi słowy on, pocziwy, i sobie samemu robił wyrzuty; napewno cierpkie jego słowa, dawniej wypowiedziane, nie mniej jego, niż mnie, bolały. A gdy w późniejszych czasach coś pokój nasz mąciło, a my, jak to sobie przyobiecaliśmy, zamilkliśmy, gdy zegar bić zaczynał, gniew się uspokajał i przechodził. Uśmiechaliśmy się wtedy do siebie i mówiliśmy: „Słyszysz? Zegar bije! Nie psujmy sobie życia, wszak ono tak krótkie!” Dobry to był zwyczaj, drogie dziecko, nie trzeba się z niego wyśmiewać!”

Młoda małżonka ucałowała rękę staruszki.

A właśnie zegar począł bić znowu.

Drogi Boże

Młoda kobieta siedziała z pięcioletnią córeczką przy zastawionym stole w wytwornej restauracji. Sala była zapelniona gośćmi — prawie wszystkie stoły zajęte.

Matka jadła w milczeniu, zamyślona; córeczka zaś rozglądała się wokoło. Nagle zdziwienie zarysowało się na jej twarzy: wzrok swój utkwiała w jednym panu, który siedział samotnie zatopiony w myślach, przy jednym z dalszych stolików.

— Patrz, mamó — woła dziewczynka z radością — tam siedzi tatuś.

Matka spojrzała w tę stronę i krew uderzyła jej do głowy, ale twarz jej spoważniała i przybrała wyraz goryczy.

— Tak, widzę, dziecko moje — rzekła cicho, ale stanowczo: — siedź cicho nie mów nic!

— Ależ, mamó, chciałabym pobiec do tatusia i ucałować go. Tak dawno już go nie widziałam — mówiła dziewczynka płaczliwym tonem.

Aby nie zwracać na siebie uwagi obecnych, matka powiedziała:

— No, idź już, pocałuj ojca, ale nie siedź tam długo, wracaj zaraz...

W lustrze matka mogła widzieć, jak córeczka śpiesznie przebiegła salę i rzuciła się w objęcia ojca, który ją uściskał serdecznie.

— Droga moja, kochana dziewczeczko, jak ja jestem szczęśliwy, że mogę ciebie uściskać!... Ale teraz musisz wrócić do matki, bo będzie się gniewać!

— O nie! — odrzekła stanowczo córeczka i rozsiadła się na kolanach ojca, objęła go rączkami za szyję i mówiła dalej: — Mama sama pozwoliła, abym przyszła do ciebie!

— Doprawdy? — zawołał pan Ziemiński uszczęśliwiony i rzucił wzrokiem na swoją żonę, jakgdyby oczekiwał od niej jakiego znaku. Ale odwrócił się ze smutkiem, ujrzawszy twarz jej zachmurzoną i zagniewaną. Z głębokiem westchnieniem przycisnął dziewczynkę do serca.

— A ty czy kochasz jeszcze ojca swego choć trochę?

I jak jeszcze! tak tęskniłam za tobą. Dlaczego więcej do nas nie przychodzisz? Teraz przecież pójdziesz z nami do domu? Prawda?

— Właśnie dziś nie mogę — odrzekł, ociągając się ojciec. — Może innym razem. — Czy ty już jadłaś? Możebyś co zjadła? — pytał ojciec, aby zmienić temat rozmowy.

— Poziomki ze śmietaną! — zawołała dziewczynka. — Musisz mię niemi uczęstować, jak to dawniej czyniłeś. O jak to dobrze, że jesteśmy razem!

Podczas, gdy ojciec z córeczką zabawiają się, żona siedzi zniecierpliwiona. Wołać córeczki nie

chce, bo już i tak wiele osób zwraca na nich uwagę, a ich badawczy wzrok drażni ją coraz bardziej.

Pan Ziemiński nie widział tego, lecz odczuwał jej groźne spojrzenie. Trzeba już było przerwać te miłe chwile. Wstał i zamierzał wyjść z restauracji. Ale Anusia chwyciła go za rękę i nie chciała puścić.

— Dziś nie mogę — mówił przyciszonym głosem — bądź teraz grzeczna i pójdź do mamy... ja ci przysięgam piękną lalkę.

Pocałował ją w czoło i szedł, myśląc, że dziecko wróci do matki. Ale ona, rozkapryszona, pobiegła za nim i chwyciła go znowu za rękę. Co robić? pomału zawrócił i poszedł z nią do stołu matki. Może go tam ciągnęła wewnętrzna tęsknota, jakaś ukryta nadzieja? Wyczytał jednak w oczach żony wstręt i nieprzyjemne uczucie. Starał się odesłać do niej córeczkę ale ta trzymała się jego ręki uporczywie. Pani Ziemska wstała zniecierpliwiona, pobiegła ku nim i chwyciła Anusię za rękę. Ale dziecko krzyknęło głośno:

— Puść mnie,, mamó, ja pójdę z ojcem.

— Wyjdźmy stąd — wszyscy na nas patrzą — mówiła matka ze złością. Prędko zapłaciła kelnerowi i wyszła z mężem i córeczką na ulicę.

— Bardzo mi przykro, że zrobiłem ci tę nieprzyjemność — odezwał się mąż. — Nie wiedziałem, że jesteś w mieście, byłbym ci oszczędził przykrości spotkania ze mną. Dziś jeszcze nie mogę wyjechać, bo mam parę interesów do załatwienia, ale jutro z rana opuszczę miasto.

— To zbyt uczne — odrzekła żona kwaśno. — Ja wyjadę jutro rano z Anusią. Po tej okropnej scenie nie mogę się przecie nigdzie pokazać.

— Przebacż, Maniu... Nie moja w tem wina...

— Nie płacz, Anusiu, nie płacz — zwrócił się do córeczki i uściśnął ją czule.

— Ty nie pojedziesz stąd, tato — wołała łkając, albo zabierz i mnie i mamę ze sobą!

— O, gdybyś się na to zgodziła, Maniu! — mówił mąż tonem prośby do żony.

— Proszę cię, przywołaj tu samochód, dość już tych historyj — odrzekła opryskliwie żona.

Pan Ziemiński odwrócił się i skinął na samochód. Tylko siłą udało się rodzicom usadowić Anusię. Matka usiadła obok niej, drzwiczki się zatrzasnęły i tylko słyhać było rozpaczliwy głos dziecka:

— Ja chcę do tatusia, do tatusia...

Samochód odjechał.

Pan Ziemiński stał długo na miejscu, gdzie pozostawiła go żona. Jakie prawo ma ta kobieta odbierać mu gwałtem jego dziecko — jego miłą Anusię? On nie miał sobie nic do wyrzucenia. Pierwsze lata ich małżeństwa przepędzili szczęśliwie, zgodnie, spokojnie. W tem zjawił się przyjaciel, jego najlepszy przyjaciel, który mu odkrył nowe jaśniejsze horyzonty, i pod jego wpływem Ziemiński, który był protestantem, przeszedł na wiarę katolicką. To spowodowało burzę. Żona, rozgniewana o to na męża, robiła mu wymówki, drwiła z niego i wkońcu porzuciła go, zabrawszy z sobą dziec-

ko pod pozorem, że chce je uchronić od zgubnego wpływu ojca.

Kilka razy próbował pan Ziemski nakłonić ją do zgody, ale zawsze daremnie. Modlił się tylko gorąco, aby Bóg ją oświecił i połączył ich znowu.

* * *

Minęło zaledwie kilka godzin czasu. Matka, załamując ręce, pytała lekarza:

— Panie doktorze, czy doprawdy grozi mojej Anusi wielkie niebezpieczeństwo?

— Niestety — tak jest w istocie. Jest to dyfteryt, a przytem ogólny stan jej nerwów jest bardzo podrażniony. Mam wrażenie, że dłuższy czas płakała i martwiła się. Dziecku tak delikatnemu należy oszczędzać wszelkich wstrząśnień i przykrości i starać się, aby było zawsze zadowolone. A gdzie znajduje się jej ojciec? Trzebaby natychmiast zatelegrafować do niego. Czy pojechał gdzie daleko?

— Nie... to jest, zdaje mi się... — płątała się Ziemska — że on jest jeszcze w mieście — a twarz jej oblała się szkarłatem. — Mieszka w hotelu. Jeżeli pan doktor sądzi, że to będzie korzystne dla mej małej, to zatelefonuję po niego...

— Bezwarunkowo bardzo dobrze to wpłynie na stan zdrowia dziecka, gdy ujrzy ojca. A w każdym razie ojciec powinien być zawiadomiony, że dziecko jest chore niebezpiecznie.

Pani Ziemska telefonowała do kilku hoteli, bo nie wiedziała, w którym mąż mieszka. Nakoniec trafiła:

— To ja jestem — mówiła do męża, zapominając o wszystkich urazach i nieporozumieniach — przyjeżdżaj do nas czempredzej — Anusia ciężko chora — chce się widzieć z tobą.

Bardzo prędko dał się słyszeć w przedpokoju dzwonek i pan Ziemiński stał u łóżka swej ukochanej córeczki, która leżała w silnej gorączce. Nie mogła wiele mówić, ale radość malowała się na jej twarzy — wyciągnęła rączki i szeptem wyrażała swe zadowolenie. Uspokoiła się zaraz i czuła się szczęśliwą.

Oboje rodzice stali obok łóżeczka córki — zniknęła wszelka złość i nieprzyjaźń wobec niebezpieczeństwa, że mogą córkę utracić. Od czasu do czasu Anusia traciła przytomność. Matka bliską była omdlenia, ale mąż ją podtrzymał i przytulił do siebie. Nie sprzeciwiała się temu — rozplakała się tylko i rzekła:

— Wiem, że to moja wina: byłam wzburzona w restauracji i zapomniałam włożyć płaszczyk na Anusie — musiała się zaziębić, a jeszcze się pogorszyło, jak mówi doktor, powodu doznanych przykrości. Jeżeli umrze, będę miała wyrzuty sumienia, że ja ją zabiłam przez mój fanatyzm i moje kaprysy.

— Nie, moja droga, to także moja wina: powinienem był pamiętać o płaszczyku, gdybym nie był tak sobą zajęty. Ale ufajmy Bogu: On pokieruje wszystkiem tak, że wyjdzie nam na dobre, wysłucha nasze prośby i uzdrowi nasze dziecko.

Po chwili dodał:

— Nie rozniewasz się, Maniu, gdy zaproszę księdza. Przecież nie zechcesz pozbawiać Anusię tego drogiego skarbu łask, jakie przynosi chrzest święty?

— Dobrze, dobrze — odrzekła, łkając, matka — już o tem myślałam. Nawet sama chcę zostać katoliczką. Dawno już zastanawiałam się nad tem i doszłam do przekonania, że tylko w wierze katolickiej prawdę znaleźć można.

Przyszedł ksiądz i ochrzcił Anusię, przy uroczystej ciszy i błogiem usposobieniu małżonków.

— Dzięki Bogu, dziecko uratowane — mówił doktor kilka godzin później. — Niech teraz prześpi się spokojnie — za kilka dni będzie zdrowa.

Ale zawsze ostrożność jest potrzebna — nie trzeba jej drażnić, ani martwić — musi być spokojną i zadowoloną.

Ledwie lekarz odszedł, Anusia otworzyła oczy i zaraz zapytała:

— A gdzie jest ojczulek?

— Jestem tu — odezwał się uradowany ojciec.

— A mama czy jest tu także? Chciałabym mieć was oboje przy sobie. — I wzięwszy za ręce ojca i matkę, dodała: — Teraz już pozostaniemy wszyscy razem.

Dzień niepokoju i trwogi o życie córki połączył rodziców i przyniósł im błogosławieństwo Boże. Drogi Boże są zawsze lepsze i pewniejsze, niż drogi ludzkie.

Przykłady pociągają

Dwaj przyjaciele, którzy się nie widzieli przez długie już lata, spotkali się na ulicy Warszawy.

Po radosnem przywitaniu zapytał jeden:

— Skąd idziesz, kochany przyjacielu?

Z kościoła. Byłem na Mszy św. i przystępowałem do Komunji św.

— Jakto? — ty?!...

— Jesteś zdziwiony. Rozumiem cię; pamiętam dobrze, jak żyliśmy za studenckich czasów. Ale teraz usposobienie moje zmieniło się zupełnie — i to dzięki żonie.

— Bardzo mię to zaciekawia. Jak się to stało? Taką przemianę cudem prawie nazwać można.

— Pójdź ze mną: Opowiem ci w drodze, w jaki sposób się nawróciłem:

„Ożeniłem się, pomimo moich wolnomysłnych przekonań, z panną bardzo religijną. Żona moja była dla mnie bardzo przywiązana, mimo to nie opuściła, z chęci dogodzenia mi, żadnego nabożeństwa, żadnej ze swoich praktyk religijnych. Nie chcąc mię drażnić, nie mówiła mi nigdy o Bogu, ale czytałem w jej oczach, co myśli. Bładła, gdy z ust moich niebacznie wyrwało się przekleń-

stwo; czasem się jej łzy w oczach pokazały -- nie więcej; po chwili znowu uśmiechała się do mnie przyjaźnie.

Codziennie chodziła na Mszę św. — nie sprzeciwiałem się jej. Coś tajemniczego powstrzymywało mię, że nie chciałem jej robić trudności. Często także przystępowała do Komunii św. i w te dni była jeszcze bardziej ujmująca — była po prostu aniołem.

O, przyczyniałem jej wiele bólu, a ona mi tego nie okazywała. I tak minęło sześć lat, aż wkońcu to anielskie zachowanie się żony nawróciło mnie. Opanowało mię silne pragnienie Boga — tego Boga, którego żona kocha, którego tak często przyjmuje, który cały ją opromienia.

Gdy wróciła raz do domu od Komunii św., powiedziałem jej niespodziewanie:

— Maniu, poprowadź mię do twego spowiednika!

Uśmiech szczęścia zabłysnął na jej twarzy — ze łzami w oczach odrzekła:

— Byłam przekonana, że się to stanie — codziennie podczas Mszy św. prosiłam o to Boga.

Tymczasem doszliśmy do domu pani Marji, która we Mszy św. i w Komunii św. czerpała siły do swego życia anielskiego z bezbożnym mężem, dla którego wyprosiła u Boga nawrócenie swoim dobrym przykładem i modlitwą.

Pożegnałem go i odszedłem w zamyśleniu...

Miłość i obowiązek

— Spotkałaś, mówisz, Anielkę u twoich znajomych? Piękna to panna, nieprawda?

— Tak — odrzekła Mania obojętnie, gdyż w istocie nie zwróciła na nią uwagi.

Kuzynka mówiła dalej:

— Prawda, że jest już teraz nie pierwszej młodości, ale przed kilku laty była piękna — jak posąg. Twój Seweryn był w niej zakochany, ale nie myślał o uwieńczeniu tego uczucia węzłem małżeńskim. — Mnie przedewszystkiem pieniądze potrzebne — mówił.

Mania poczerwieniała — знаła wprawdzie dobrze swoją kuzynkę, wiedziała jak jest nietaktowna, śmiała się z niej często, ale teraz, gdy jej wprost w oczy powiedziała, że jej mąż, o którego miłości była tak przekonana, ożenił się z nią tylko dla pieniędzy, nie miała chęci do śmiechu.

Odetchnęła swobodniej, gdy kuzynka odeszła i pozostała sama. Ale z tem większą siłą nacierały na nią teraz myśli trwożliwe, męczące. Nie była ładna — o tem wiedziała dobrze. Odziedziczyła po matce znaczny majątek, ale macocha jej pragnęła, aby się te pieniądze dostały jej dzieciom, więc często robiła Mani docinki, że jest brzydka,

niż nikt jej nie weźmie za żonę — chyba dla jej majątku. W istocie tak źle nie było: Mania była zgrabną i miłą osobą, głos miała dźwięczny i łagodny, umiała gustownie się ubierać, była skromna i powabna. Pod wpływem krytyki macochy była jednak w obecności mężczyzn zalękniona i milcząca. Dopiero gdy Seweryn powiedział jej niegdyś: „Z tobą byłbym szczęśliwy”, serce jej silniej zabiło i uwierzyła w jego miłość.

Wprawdzie nie łudziła siebie, aby Seweryn, który liczył już przeszło 30 lat, nie miał poprzednio żadnych miłostek. Nie powinna przeto zazdrościć, że Anielka mu się kiedyś podobała. Wiedziała też, że Seweryn, jako dobry katolik, nie pozwoli sobie na niewierność małżeńską; mimo to — słowa kuzynki nie wychodziły jej z myśli: coś z tego, co mówiła, musiało być prawdą...

„Z tobą znajdę szczęście!” — te słowa odbiły się echem w jej sercu, a szczęście kobiety polega na tem, że może komuś szczęście przynieść. Mania nie była marzycielką. Ale teraz przypominały się jej niektóre słowa męża przy różnych okolicznościach wypowiedziane, jak: lekkomyślne małżeństwo, nierozważny krok w życiu i t. p. Mało na nie wtedy zwracała uwagi, potakiwała nawet, uważając je tylko jako zdanie ogólnikowe, nie zastosowane do ich życia. Teraz jednak, przy zestawieniu ze słowami kuzynki: „przedewszystkiem muszę mieć pieniądze” — bardzo niemile ją dotknęły. Już macocha jej mówiła wielokrotnie: „główna rzecz — to pieniądze — wszystko inne gra rolę drugorzędną”. Drugorzędną ma być prze-

to jej niewinne serce, jej pierwsza miłość, jej wykształcenie niepospolite, jej głęboka wiara, a słowo „szczęście”, które starający się o nią z takim uczuciem wymówił, czyżby nie oznaczało w jego oczach nic innego, jak tylko... pieniądź?

* * *

Kuzynka szła tymczasem pośpiesznie na zebranie charytatywne, gdzie zamierzała mieć przemowę. I nie troszczyła się o to wcale, że w sercu młodej kobiety zatopiła sztylet, że rana, zadana jej, nie prędko się zagoi.

A jednak zagoiła się, choć po wielu walkach i cierpieniach. Religijność Mani dopomogła jej, że zapanowała wkońcu nad zmartwieniem swem. Nie miała też nikogo, komu by się mogła zwierzyć, lub o radę zapytać. Co się dzieje między małżonkami jest rzeczą zbyt drażliwą i świętą, aby się tem z innymi dzielić.

Jeden tylko może poradzić i pocieszyć, On, wobec którego związek małżeński został zawarty, przed którym ze łzami się modliła i postanawiała święcie pełnić swój obowiązek.

Tak — obowiązek. Nie ulega wątpliwości, że kochała męża i chciała go kochać, a choć może tę miłość nie tak głęboko odczuwała jak przedtem, to przymuszała się nazewnątrż ją okazywać, nawet być jeszcze więcej uprzejmą, uprzedzającą, łagodną. Dotychczas nie zwracała uwagi na to, że czasem się sprzeczała, niechętnie spełniała jego życzenia, lub bywała w złym humorze — teraz mu-

si panować nad sobą, gdyż łatwo mogłaby przy sprzecze wybuchnąć i wypowiedzieć to, co jej ciąży na sercu, a o czem nikt wiedzieć nie powinien. Szukał z nią szczęścia, niechże mu ona go nie zamąci.

* * *

Mijały lata. Mania doczekała się trojga miłych dzieci, które bardzo kochała i w tej miłości ku nim bardziej się z mężem łączyła. Łzy osuszyła — serce jej było już spokojne. W ciągu tego czasu wiele już widziała w świecie, co ją nauczyło, że prawdziwa miłość i szczęście są rzadkością między ludźmi. Dlaczegoż ona miałaby to posiadać, co tysiącom innych nie było użyczone?

Nastąpiły burzliwe czasy: wojna, inflacja, nędza. Piękny majątek Mani stopniał, jak śnieg marcowy. Żał się jej wtedy męża zrobiło. Wprawdzie miał dobre stanowisko i umiał żyć oszczędnie — głodu nie zaznali. Ale przypomniały się jej słowa, przez męża dawniej wypowiedziane, i paliły ją znowu.

Pewnego wieczoru, gdy dzieci już spać się położyły i małżonkowie siedzieli sami za stołem, wyrwały się Mani z ust słowa:

— Ach, Sewerynie, jak mi żal ciebie, teraz masz żonę bez żadnego majątku!

Seweryn spojrzał na nią i milczał czas jakiś. Po chwili ujął jej rękę i zawołał:

— Nic to nie znaczy — nie płacz po utracie pieniędzy! Bogata, czy biedna — w tobie znalaz-

łem moje prawdziwe szczęście w życiu, moja droga, kochana, jedyna żono!

Mania słuchała i nie wierzyła sobie: czy się nie przesłyszała? Czy rzeczywiście jej samej on tylko szukał i samą tylko kochał? Ileż lat ona napróżno się matrtwiła?

Ale nie — nie napróżno: tak silnie nie przywiązywałaby się do męża, gdyby o jego miłości była zupełnie przekonana. Teraz zaś była już spokojna i wzmocniona na duchu, mogła szczęścia swego w pełni zażywać. Ukryła twarz swą w rękach i rzewnie zapłakała — z radości!...

III.

DZUMA WŚRÓD MAŁŻEŃSTW.

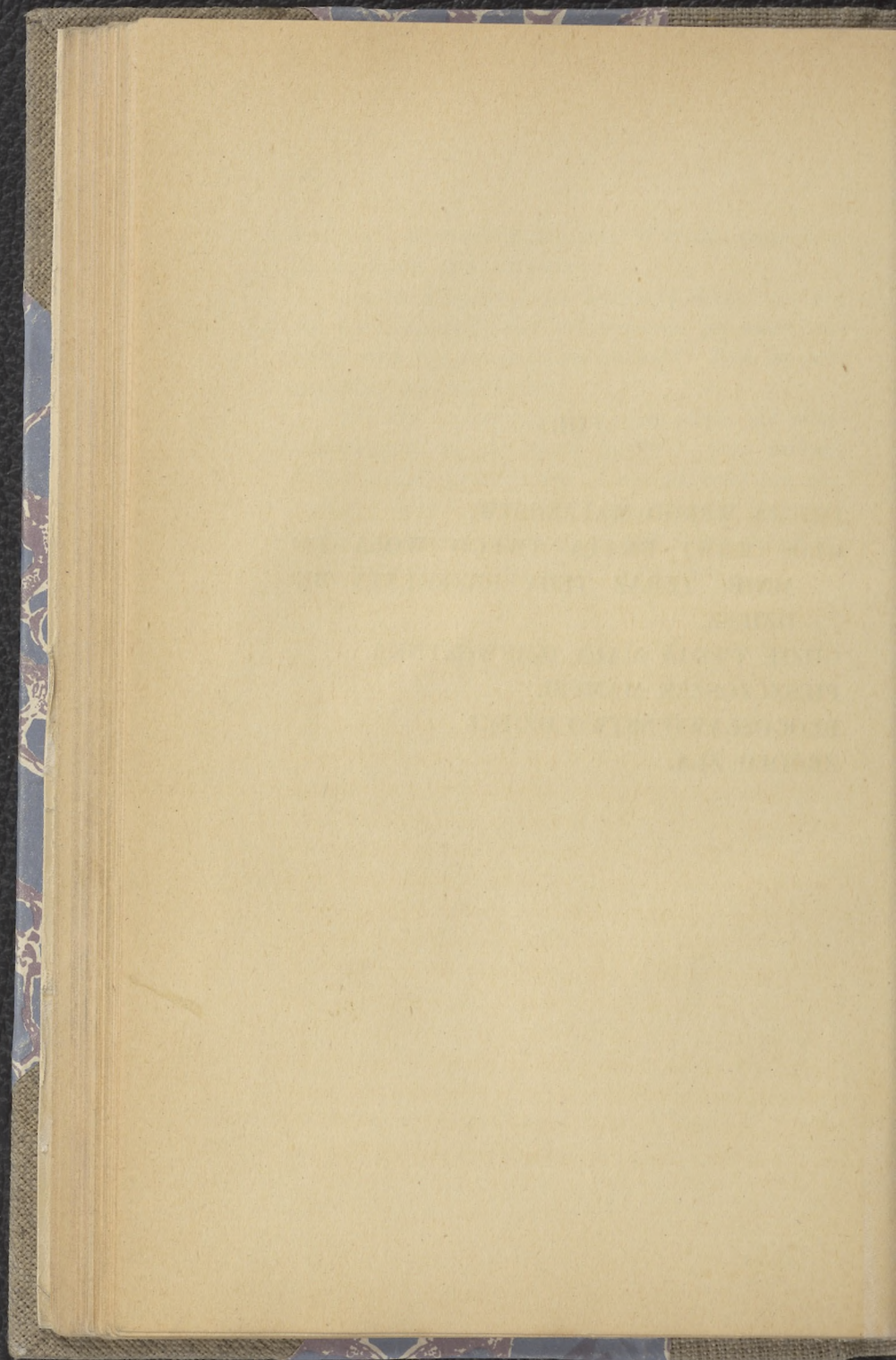
GŁOS KRWI BRATA TWEGO WOŁA DO
MNIE. TERAZ TEDY PRZEKLĘTY BĘ-
DZIESZ.

GDZIE TWOJA MAŁA DZIEWCZYŃKA.

PIESZCZOSZEK MAMUSI.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO DZIECI.

ŹRÓDŁO ZŁA.



Dżuma wśród małżeństw

Są rzeczy, o których nie chciałoby się nietylko pisać, ale i mówić i myśleć. Jeżeli jednak milczenie jedynie szkodę przynieść może, to obowiązkiem każdego, komu dobro dusz leży na sercu, jest poruszać i takie właśnie sprawy i to w słowach dość wyraźnych, żeby się nikt nieznajomością i niezrozumieniem wymawiać nie mógł.

Chodzi mi o grzech nowoczesny, o grzech szerzący się zastaszająco wśród naszych rodzin, o grzech, który dziś ludzie za grzech uważać nie chcą, o niedozwolone ograniczenie liczby dzieci.

Grzech ten można naprawdę nazwać dżumą wśród małżeństw. Bo podobnie jak straszna zaraza, tak i fala tego grzechu zalewa niepowstrzymanym pędem nasze wsie i miasta, ogarnia ludzi, po którychby się tego wcale nie można było spodziewać, ubezwładnia opór lekarzy-kapłanów i tępi bez miłosierdzia ludność, w którą się wdarła.

Ale pod wielu względami zaraza ta gorsza jest od dżumy. Dżuma zabija fizycznie, ta zaś zabija i moralnie, dżumę każdy uznaje za zło, tę zarazę ludzie przyjmują z przyjemnością, z uznaniem. Starają się oni wmówić sami w siebie, że to rzecz dozwolona i o zakazie ani słyszeć nie chcą.

Ale sumienia człowiek tak łatwo nie zagłuszy. I ono truje go i gnębi nieustannie i pomimo wma-
wiania w siebie, że to wolno, nigdy mu nie daje
spokoju.

Oprócz świadectwa sumienia, zbrodnię, która
się ujawnia w tym grzechu, piętnuje, i to w spo-
sób bardzo dobitny, Pismo święte. Opowiadając
o takim grzechu, popełnionym przez Onana, do-
daje ono, że „z tej przyczyny zabił go Pan, iż rzecz
obrzydliwą czynił” (Gen. XXXVIII, 10). To sa-
mo stwierdza jednoznacznie nauka Ojców świętych,
pisarzy kościelnych i Stolicy św., która objaśnia,
że czyn ten prawem natury jest zabroniony
(S. OH. 21 maja 1851). Zresztą mówi to każdemu
jego zdrowy rozum: Małżeństwo bowiem, jako ta-
kie, za swój pierwszorzędny cel ma z natury rze-
czy utrzymanie rodzaju ludzkiego. Jeśli ktoś te-
mu celowi, danemu przez Boga, wprost przeszką-
dza, działa przeciw woli Bożej i porządkowi na-
tury, czyli innemi słowy, dopuszcza się grzechu.

Okoliczność, że czynu tego dopuszczają się
małżonkowie, nie tylko grzechu nie usuwa, ale,
owszem, ogromnie go powiększa. Do nieczystości
bowiem dołącza się pokalanie świętości sakramen-
tu małżeństwa, a więc do pewnego stopnia święto-
kradztwo, dalej bardzo często krzywdzenie dru-
giej, lepszej strony, wrzeszcze, często też, zgorsze-
nie.

Ta sama okoliczność wpływa także na liczbę
grzechów. Podczas gdy inne grzechy trafiają się
najczęściej wypadkowo, to występki ten mnoży
się stale przez lata i lat dziesiątki; małżonkowie

zasypiają w nim bezpiecznie, lgnąc w brudzie i nie budzą się — aż nastąpi straszne przebudzenie, ale wówczas już będzie za późno.

I zdziwimy się kiedyś na sądzie ostatecznym, gdy po lewej stronie zobaczymy te, znane nam za życia osoby, które, powierzchownie rzerz biorąc, żyły zupełnie uczciwie, chodziły do kościoła, modliły się...

Spółczeństwo nasze z odrazą i pogardą odwraca się od kobiet złego prowadzenia, piętnuje — słusznie zresztą — matki nieślubne, a jednak grzech, o którym mowa, o wiele — sam w sobie — grzechy tych istot wzgardzonych przewyższa. I takie jest już dzisiaj zaślepienie wśród ludzi, że tacy grzesznicy sami spoglądają z pogardą na owe istoty z faryzejską modlitwą na ustach „Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni”, nie wiedząc nawet, że sami są daleko głębiej w kał pograżeni. Nie chcę tu bronić źle prowadzących się osób, ale stawiam to porównanie dlatego, żeby wykazać, w jak strasznym złudzeniu żyją tysiące naszych małżeństw.

Grzech ten mści się na człowieku już w tem życiu. Umieszcza on człowieka wśród ludzi, którzy stale żyją bez łaski Bożej, powoduje zatwardiałość w niepokucie, a często i odstępstwo od wiary, która mu takich zbrodni zabrania. A oprócz tych szkód moralnych przychodzą i szkody fizyczne, o czem dużo mogliby powiedzieć lekarze chorób kobiecych — bo prawo natury w ciele ludzkim bezkarnie gwałcić się nie da.

W ślad za szkodami dla jednostki idą wraz

z tym grzechem nieszczęścia dla rodzin. Współczesne pożycie rodzin, te ciągłe niewierności, niezgoda, kłótnie, zabójstwa nawet, to wołanie o rozwoły, oto jeden z częściowych skutków tego grzechu, oto przekleństwo, które za ten występki nad małżeństwami zawisło. I nie jest to tylko takie gołosłowne twierdzenie. Grzech ten bowiem do-wodzi, a zarazem pomnaża brak poświęcenia, ofiarności, ideału, ciągnie człowieka w najgrubszy materjalizm, a właśnie dobre współżycie małżeńskie bez poświęcenia, ofiarności i wyższych ideałów nie jest możliwe. Przekleństwo tego występk-u ujawnia się i na dzieciach. Dzieci takich rodzin, ograniczone do jednego, dwojga lub trojga, bywają rozpieszczone; brak ideałów i niskie instynkty rodziców pozbawiają je dobrych wpływów i te biedne istoty marnieją moralnie, a niekiedy i fizycznie. Ciekawe spostrzeżenia można zebrać, rozpatrując powołania. Księża, zakonnicy, zakon-nice — to dzieci rodzin przeważnie licznych. Uko-chana dzisiaj przez wszystkich święta Teresa od Dzieciątka Jezus to *dziewiąte* dziecko pana Mar-tin (oczywiście zdarzają się powołania i święci z rodzin nielicznych, bo też szczupła liczba dzieci nie zawsze jest dowodem występności rodziców). Jest to zresztą starą prawdą, że złe drzewo dobre-go owocu dać nie może.

Straszna i wprost oczywista jest kara Boża, jaka ciąży za ten grzech nad społeczeństwami. Istniały niegdyś potężne i wysoko stojące państwa, choćby wspomnieć tylko na taką potęgę rzymską, a dziś po nich ledwo wspomnienie pozostało. Cze-

mu one zginęły, czemu ich kultura uległa pod naporem ludów o wiele niższych i słabszych? Nie siła tych ludów, ale samobójstwo, ale rozkład, dokonany we własnym organizmie potężnych narodów, stały się tego powodem. A rozkład ten — nie na ostatniem miejscu powodowało owo właśnie nadużycie. Nie trzeba nam daleko szukać dowodów, mamy dziś przed naszymi oczyma wymierający zachód, a przedewszystkiem Francję, gdzie występki ten panuje wszechwładnie, a od której już dzisiaj czuć woń trupa.

Podobne następstwa, o ile się rzeczy nie zmienia, grożą w niedalekiej przyszłości i nam. Toteż ludzie o gorętszem sercu i szczerem poglądzie z wielką obawą patrzą w nadchodzące wieki i w niedaleką może wędrówkę narodów wchodnich, które zalać mogą rozłożony zgnilizną i niezdolny do samoobrony zachód, podobnie jak ongi hordy barbarzyńców zalały rzymskie cesarstwo. Dzieci bowiem na wschodzie do dziś uważane są za błogosławieństwo, a z drugiej strony wzrastająca szybko ludność tamtejsza szuka nowych środków utrzymania, nowych obszarów; tych zaś dostarczają im stoczone zgnilizną i z uszczuploną liczbą obrońców ludy Zachodu.

Żeby rozprawę tę bodaj jakotako wyczerpać, muszę tu jeszcze odpowiedzieć na kilka zarzutów, stawianych przeciw licznym rodzinom. Pierwszy zarzut — to ubóstwo. Dzieciom trzeba dać utrzymanie, oto zaś obecnie niezmiernie trudno; a więc liczbę ich trzeba ograniczyć. Dzieci — oto inny zarzut — zatruwają rodzicom życie. Jeżeli już

z jednym lub dwojgiem tyle jest kłopotu, pocich liczbę mnożyć! Większa ilość dzieci — wymawiają się inni — zagraża zdrowiu, a nawet życiu wielu matek, a grzechem nawet byłoby na coś podobnego siebie, albo drugich narażać. Zresztą — mówią — gdyby się ilości dzieci nie ograniczyło, ziemia w krótkim czasie nie będzie zdolna wyżywić swych przyszłych mieszkańców, nastąpią epidemie, głody... a do tego dopuszczać nie można.

Co do tych zarzutów, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, że tam gdzie chodzi o prawo naturalne, o żadnych wyjątkach, o żadnych usprawiedliwieniach mowy być nie może. A więc chociaż o śmierć samą chodziłoby, nawet o zgubę całego świata, nigdy i w żadnym wypadku przyzwolić na ten grzech ci nie wolno. I nie jest to tylko takie pobożne życzenie, ale jest to nakaz, stwierdzony nieomylną powagą Kościoła. A więc chociażby wszystkie te zarzuty okazały się prawdziwemi, uczynek ten będzie i pozostanie zawsze grzechem i zbrodnią w oczach Bożych. Zresztą byłaby jeszcze inna droga do uchronienia się od owych ujemnych następstw: możesz żyć w stanie wolnym, możesz też i w małżeństwie służyć Bogu w zupełnej czystości i powściągliwości — innej drogi niema i nie będzie. Jeżeli ci trudno, lub zgodzić się na to nie chcesz, musisz przyjąć wszelkie następstwa, jakie rzecz ta z natury swojej za sobą pociąga, inaczej wprowadzasz w prawie natury nieporządk, na co Twórca natury i jej praw nigdy się nie zgodzi i zgodzić nie może.

A potem i te zarzuty same w sobie niekoniecz-

nie wytrzymują krytykę. Co się tyczy pierwszego: braku środków na utrzymanie; przypomnij sobie zdanie jednego, światowej sławy, profesora, znakomitego znawcy na tem polu. Otóż według jego doświadczeń i wiedzy na sto kobiet o podobnych zasadach (mowa tu o Belgji) 75 procent czyni to poprostu dlatego, że nie jest zdolna do ofiar i poświęceń, że nie chce wyrzec się zabaw i przyjemności, w których im dzieci oczywiście będą stać na przeszkodzie. Jedynie 25 procent miała do tego inne powody. Na potwierdzenie tego może służyć uwaga, że — u nas przynajmniej — nie ubodzy, ale zamożni hołdują po największej części temu grzechowi. Prawda, że rodzice ze stanu niższego i średniego nie będą mieć tych samych wygód, że nie będą mogli jeździć do kąpiel, spędzać nocy w karczmie, w teatrze, w kabarecie, wyrzucać pieniędzy na zbytki, że będą musieli ponieść niejedną ofiarę, ale, jeżeli kto przytacza takie tylko powody, na to odpowiadać nie chcę i nie potrzebuję. Życie to nie żart, nie bal jakiś lub noc zapustna, którą przehulać i przetańczyć trzeba, ale jest to sprawa poważna, sprawa, od której cała wieczność i cel nasz zależy; nie tu nam za szczęściem gonić, ale tu mamy je sobie przez cierpienia, ofiary i pracę zasłużyć. Potrafi ubogi kmiołek wychować liczną familję, potrafi 10 czy 12 osób wyżywić prosty, poczciwy robotnik, lub liczący się ze swoim sumieniem urzędnik, czemu dla ciebie ma być to samo niemożliwe, czemu ty do tego samego nie byłbyś zdolny?

Co się tyczy drugiego zarzutu, że większa ilość dzieci uniemożliwia ich dobre wychowanie, jest — ogólnie mówiąc — prawdzie wprost przeciwnie. Trzeba tylko otworzyć oczy i wejrzeć w jedno i drugie rodzinne kółko, żeby się o tem przekonać. Świadczy zresztą o tem i sam fakt powołań, o którym była mowa powyżej.

Również niebezpieczeństwo utraty zdrowia albo i życia spowodu ponownego pomnożenia potomstwa nie jest tak wielkie, a już co do utraty życia, zachodzi tylko w najrzadszych wypadkach, o czem świadczą uczeni, a sumienni lekarze. Zresztą, jak się powiedziało, znieprawienie małżeństwa tak samo, a może i więcej zdrowie kobiety wyniszcza. Jeżeli zaś, w rzadkich wypadkach, macierzyństwo grozi rzeczywiście niebezpieczeństwem, tam nie pozostaje nic innego, jak tylko wstrzeźmliwość.

Ostatni zarzut — przeludnienia ziemi — jest tylko prostym, nic ino znaczącym wykrętem. Nie dobro świata, ale osobista wygoda leży im na sercu. Jeśli zaś chodzi o ekonomistów, to z nimi w spór wdawać się nie opłaci, bo oni o moralność, jako taką, po większej części mało się troszczą. Powiem tylko, że nie uczeni, ale Bóg światem kieruje, że ziemia dużo jeszcze ludzi wyżywić może, że wiele jest jeszcze środków nie wyzyskanych, że nie wiemy, jakie będą za lat dziesięć, sto... koleje świata i że, krótko mówiąc, zachowanie przykazań Bożych na złe ludzkości wyjść nie może. Raczej powinniśmy się starać, by jaknajwięcej dusz zupełnie się Bogu poświęcało i wie-

rzyło Jego słowom, że nie zapomni o tych, co Mu wiernie służą.

Wiem, że niejednemu wyda się „twarda ta mowa”, że zastosowanie się do niej wymagać będzie dużo ofiarności, ale powinniśmy się raz na zawsze przejąć tą prawdą, że ziemia to — według wyrażenia św. Teresy — marna gospoda, w której nocujemy, lecz w której mieszkać nie myślimy, że jak Kościół nasz miał męczenników za wiarę, podobnie potrzebuje i bohaterów i żąda heroizmu i wytrwania w czystości, a wtedy z pomocą Bożą wszelkie trudności zwyciężyć zdołamy.

Głos krwi brata twego woła do mnie
z ziemi. Teraz tedy przeklęty będziesz
(Rozdz. IV, 9, 10).

Widziałem kiedyś w Watykanie ponad głównym ołtarzem w kaplicy Sykstyńskiej obraz sądu ostatecznego, pędzla Michała Anioła. Obraz ten utkwiał mi głęboko w duszy. W środku obrazu widać pełną potęgi i sprawiedliwego gniewu postać Zbawiciela. Obok stoją szeregi męczenników, którzy pokazują Chrystusowi narzędzia, zapomocą których pomordowano ich niegdyś. Sprawiedliwy Sędzia, patrząc na to, rzuca ostatni wyrok na ich katów, na potępionych: „Idźcie precz, przekłeci...” A oni zakrywają sobie twarze ze zgrozy i w poczuciu swej własnej winy i wpadają, pędzeni przez czartów, w otchłań wieczną, gdzie robak wyrzutów sumienia nigdy już nie zamrze.

Obraz ten staje mi przed oczyma, kiedy spotykam się z matkami, ojcami, lekarzami..., którzy mordują maleństwa, nim one jeszcze światło dzienne zobaczą. I słyszy człowiek jakiś ogromny krzyk, rozpaczne wołanie o sprawiedliwość. I widzi te szeregi i szeregi pomordowanych istot, które stają przed trybunałem Sprawiedliwego Sędziego i pokazują narzędzia, które ich pomordowano, i do-

magają się sprawiedliwości: „Chryste-Sędzio! Ty znasz nasz los. Tyś patrzył na naszą niedolę. Ta, która miała być dla mnie wszystkiem, której opiece mnie powierzyłeś, ta, która mi życie dała, dała mi je nato, żeby mi je po niewielu tygodniach czy miesiącach odebrać, nawet nim jeszcze woda chrztu czoło moje obmyć mogła. Sprawiedliwości żądam! Ten, którego kością z kości, krew z krwi jego jestem, który mi życie dał, dał mi je nato, żeby je zaraz odebrać. Sprawiedliwości żądam. Ci, którzy za cel wzięli sobie ratować życie i zdrowie, którzy pomagać mi mieli w pierwszych chwilach moich na świecie, oni — po trzykroć przekłeci — za Judaszowe srebrniki, krwią moją oblane, życie mi odebrali. Pomsty i sprawiedliwości dla nich! Pomsty i sprawiedliwości dla matki-potwora, która, wyzbywszy się wszelkich ludzkich i macierzyńskich uczuć, stoczywszy się niżej od zwierzęcia, zamiast mnie bronić, strzec, czuwać nade mną, ona pierwsza o mojej zgubie myślała — dla swej wygody, dla czegokolwiek zresztą... Jeżeli krew Ablowa o pomstę na brata-mordercę wołała, to stokroć bardziej krew moja na nią, na matkę moją, na moją zabójczynię o pomstę wołać musi! Pomsty i sprawiedliwości wołam dla mego okropnego ojca, który w djabelstwie jakimś, w opętaniu jakimś, nienawiścią prześladował mnie nim jeszcze wzrok jego na mnie spoczął i ręce swoje mordercze w krwi mojej ubroczył. Pomsty i sprawiedliwości żądam dla tych, co w upodleniu i okrucieństwie, zamiast opieką mnie darzyć, swej sztuki lekarskiej nato użyli, żeby to życie moje

zglądzić, żeby za krwawą mamonę dziesiątki i setki taksamo jak ja niewinnych na swoje nieludzkie sumienie brać. Tym pomsta po trzykroć”!

I wołałbym stanąć przed sądem Bożym w położeniu owego bandyty, który za zbrodnie swoje idzie na szafot, skazany przez ludzkie trybunały, aniżeli w położeniu matki-potwora, ojca-dzieciobójcy, lekarza czy położnej — morderców. Bo lżej będzie takiemu przed Bogiem, gdyż on przynajmniej nie jest związany z ofiarą swoją węzłami krwi, nie mści się zazwyczaj na bezbronnej istocie, i karę już na ziemi otrzymuje.

I na morderców takich my palcem pokazujemy, w pismach ich potępiamy... a równocześnie ściskamy skrwawioną dłoń matki-potwora, która bezkarnie żyje wśród nas z kilkoma i więcej niekiedy zbrodniami na sumieniu, żeby w dzień sądu tem straszniejszy wyrok na się usłyszeć.

Biada tym, którzy skrzywdzili takich, którzy jeszcze bronić się sami nie umieją, ale stokroć biada tym, co najstraszliwszą krzywdę najbliższym sobie istotom — dzieciom własnym — wyrządzili, odbierając im życie, którego już nigdy powrócić im nie zdołają. Bóg się kiedyś o krzywdę ich upomni.

I nie mów, że to jeszcze małeńkie, niekształtne... Im bardziej bezbronne, tem gorzej dla ciebie. Metrem nie mierzy się duszy. Przykazanie „Nie zabijaj” dotyczy taksamo osoby starca, jak i małego dziecięcia, każdej istoty ludzkiej, mniejsza o to, czy ona chodzi po świecie, czy też jeszcze

światła dziennego nie widziała, gotując się dopiero do samodzielnego życia na ziemi.

Nie błądzmy. Bóg nie pozwoli, aby lekceważono Jego Przykazania. I słowa wyrzeczone niegdyś do Kaina: „Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi. Teraz tedy przeklęty będziesz”... do zabójców własnego potomstwa, chociażby w najwcześniejszych jego chwilach, jeszcze daleko więcej zastosować się dadzą. Za niewiniątkami Bóg ująć się musi.

„Gdzie twoja mała dziewczynka”?

W pełnym rozkwicie lat i piękności stała młoda panna przed ślubnym ołtarzem. Jej oczy błyszczały i wyrażały niewypowiedzianą radość. Dziś spełniają się jej sny o szczęściu i miłości — złota przyszłość nadchodzi: mąż, oprócz szczerzej miłości, dostarczy jej obfitych środków na wspaniałe życie, wolne od trosk i kłopotów.

Jak sobie Klara wymarzyła, tak też i potrafiła sny swoje do skutku doprowadzić. Nie odrywała ani na chwilę kielicha radości i używania od ust swoich.

Po roku nadciągnęła pierwsza chmurka. Klara czuła się zmęczoną. Czyżby już miała doczekać się potomstwa? Nie, nie — tego być nie powinno, to za wcześnie — później — może, ale teraz?...

Miała w mieście dobrą znajomą: ona poradzi. Pobyła u niej kilka tygodni. Wróciła blada i osłabiona, ale cel został osiągnięty. Można było żyć, jak dawniej.

Ale Klara bardzo się zmieniła. Znikł jej dawny miły uśmiech, jej tak szczerą i prostą wesołość stała się jakąś sztuczną, a do uśmiechu poprostu zmuszać się musiała. Jakaś chmura zaległa w jej sercu.

Pewnego poranka siedziała z książką w ręku w cienistym miejskim parku. Ale nie czytała. Wzrok jej bezwiednie zwrócił się na sąsiednią ławkę. Tam siedziała także młoda kobieta z robótką w ręku. Przed ławką bawiło się dwoje dzieci: jedno dwu, a drugie może czteroletnie. Dzieci były milutkie i wesołe, dźwięczny ich śmiech rozlegał się co chwila, a oczy matki spoczywały na nich z wyrazem radości i miłości.

Dzieci chciały rozpocząć jakąś nową grę, dla której potrzebowałyby jeszcze jednej towarzyszki. Jedno z dzieci podsunęło się do Klary i zapytało odważnie: „A gdzie twoja mała dziewczynka?” Klarę coś ukuło w serce. Rzeczywiście, gdzie ona? Dlaczego nie bawi się w słoneczku, pod jasnym błękitem nieba, wśród kwiatów i zieleni? I widzi ku sobie zwrócone zasmucone oczy dziecka, pytające z wyrzutem: „Dlaczego?” — „Nie mam wcale małej dziewczynki”, odrzekła jej Klara i dziecko wróciło do matki.

I Klara wstała: „Tu niema spokoju, dokucza hałas dziecienny — nie można czytać: zbyt silna woń kwiatów, drażni nerwy. I słońce pali — przyjemniej będzie w domu.

Ale i w domu Klara nie zaznała spokoju. Ciągłe jej dźwięczało w uszach pytanie dziecka: „A gdzie twoja mała dziewczynka?” i zdało jej się, że widzi wpatrzone w siebie dwoje smętnych oczu.

Minęło kilka miesięcy. Młoda mężatka była cierpiąca, zdenerwowana, nastrój ducha przygnębiony. Doktor zalecił wyjazd nad morze. Na-

tychmiast wybrała się w drogę: świetne stroje zostały przygotowane i zapakowane — młode małżeństwo wyjechało nad morze. Gdy stanęła na brzegu i ujrzała oświetlone słońcem fale marskie, zawołała z radością: „Teraz będę zdrowa!”

Mało jeszcze było przyjezdnych, ale z każdym dniem przybywało z różnych stron coraz więcej gości, a z nimi także wesołe i miłe dzieci. Z zadowoleniem przypatrywała się im Klara, jak pluśkały się w wodzie. Nagle zbłądła. Zdawało się jej, że ujrzała znowu tych samych dwoje smętnych oczu i usłyszała cichy wyrzut: „A gdzie twoja mała dziewczynka?”

„Gdyby jej mąż nie podtrzymał, byłaby upadła. Troskliwie prowadził ją do domu. „Jedźmy stąd, wracajmy natychmiast — nie zniosę tego widoku”.

Tegoż dnia wrócili.

W kilka dni później trzyma Klara w ręku list jednej z koleżanek, która ją uprzejmie zaprasza do siebie. Koleżanka wyszła zamąż mniej więcej w tym samym czasie, co i ona, i mieszka w majątku swego męża, który jest zawołanym gospodarzem.

Klara nie widziała swej koleżanki od czasu, kiedy ukończyły zakład naukowy i ucieszyła się, czytając to serdeczne zaproszenie. Odżyły w niej wspomnienia dawnych czasów: „Tak — pojedę do niej, tam odzyskam napewno dawną wesołość”.

Młoda ziemianka przyjęła ją bardzo czule — żadnej u niej zmiany nie było, była równie szczęśliwa i wesoła, jak dawniej. Oprowadzała ją po

domu, po gospodarstwie, a potem siedziały razem i długo, długo rozmawiały: opowiadaniom i wspomnieniom przeszłości nie było końca.

Nareszcie poprowadziła gospodyni domu Klarę jeszcze do jednego pokoju: „Wszystko już widziałas, ale co mam najpiękniejszego i najmiłszego pozostawiłam na ostatek. Chodź za mną, zaraz zobaczysz!”

Otworzyła drzwi i weszły do obszernego, słonecznego pokoju, jasno malowanego. Tam na podłodze był rozłożony dywan, a na nim siedziała ładna, mała dziewczynka, która, ujrawszy matkę, z radosnym okrzykiem wyciągnęła ku niej ręczeta. Z nietajoną radością podniosła ją matka i podała Klarze ze słowami: „Oto mój skarb najdroższy, najkosztowniejszy klejnot, którym mię Bóg obdarzył!”

Wzięła ją Klara na ręce i winszowała swej przyjaciółce, wyrażając jej swój podziw i zadowolenie, ale jednocześnie odezwał się w jej wnętrzu robak niepokoju: „Czyż i jej Bóg nie chciał podarować takiego skarbu? Ale ona go odrzuciła, wyrzekła się łaski Pana!”

Całą nos nie spała i nazajutrz zaraz rano wyjechała, nie mogąc dłużej pozostać.

Jedno tylko miała teraz życzenie: aby doczekać się dziecka. Ale na próżno mijały miesiące i lata...

Wie już teraz, że matką nie będzie. Poddawała się swemu losowi, który znosi cierpliwie i z pokorą, jako karę za swą ciężką winę.

Pieszczoszek mamusi

Mamy wrażenie, że Bóg obdarza osobliwszem błogosławieństwem rodziny, w których jest wiele dzieci. Chociażby bieda i niedostatek zaglądały do takich domów, trudno jednak znaleźć więcej szczęścia i radości serca gdzieindziej, jak właśnie w takich licznych rodzinach. Tam nie znajdziemy pieszczochów. Wprawdzie bardzo są do siebie przywiązani i kochają się nawzajem szczerze rodzice i dzieci, ale to nie jest jakaś młła, czułościowa miłość. Rodzice zachowują karność między dziećmi — nieraz im się dostaje kara od rodziców, jeżeli na to zasłużą. I dziwna rzecz: rzadko słyszymy, aby dzieci z licznych rodzin źle się prowadziły i nędznie zakończyły swój żywot, a przeciwnie nieraz czytamy w gazetach o samobójstwach, kradzieżach i innych występkach młodych ludzi, o których się dowiadujemy, że był to jednak, ulubieniec matki, lub obojga rodziców.

Jaka może być tego przyczyna? Mogłoby się bowiem здаwać, że gdy w rodzinie jest tylko jedno, albo dwoje dzieci, powinnyby one być wzorowemi, gdyż rodzice mają więcej czasu zająć się niemi, niż gdyby ich było wiele. Jest kilka powodów: Nasamprzód jest to kara Boża za zu-

chwałstwo, że rodzice sami sobie oznaczają ile chcą mieć dzieci. Nic w takim wypadku nie może usprawiedliwić rodziców. Czy może oczekiwać błogosławieństwa Bożego takie małżeństwo, które samowolnie cel jego niweczy? A że w ostatnich czasach coraz więcej małżeństw tak postępuje, widać to z różnych brudnych ogłoszeń w gazetach, które chcą im to ułatwić. Bezwstydnie rekomenduje się różne środki na zmniejszenie ilości potomstwa.

Gdzie już pojęcie o świętości stanu małżeńskiego się zatracza, tam znika i samo pojęcie o nierozzerwalnym związku małżonków — toteż mnoży się w zastraszający sposób ilość rozwodów, jako kara za grzechy.

Gdzie jest wiele dzieci w domu — tam więcej się modlą — przede wszystkim sami rodzice, którzy może mają z dziećmi wiele kłopotów. Wielokrotnie też spoglądają na krzyż i przypominają sobie słowa Zbawiciela: „Kto chce iść za Mną, niech weźmie krzyż swój na siebie”. W tymże krzyżu znajdzie siłę i pocieszenie. A co sami czynią i czego sami doświadczają, tego uczą też swe dzieci: aby na krzyż spoglądały. Większe grono rodziny pod krzyżem Bóg musi wysłuchać i błogosławić.

Inaczej się dzieje w domu, gdzie wychowuje się pieszczoch mamusi. Rodzicom przykrzy się w domu. Od Boga niczego nie potrzebują — mają wszelkie wygody i dość środków do życia. Szukają rozrywki poza domem: chodzą z wizytami, do teatru i do kina — biorą też z sobą małego

synka, który już od najmłodszych lat przyzwyczajają się do próżniactwa i niezdrowych rozrywek, zawczasu w nich smakuje, a gdy podrośnie, potrafi się jeszcze lepiej bawić, niż rodzice.

W licznej rodzinie dzieci wychowują się praktycznie. Do tego zmuszają okoliczności. Muszą oszczędzać i nie mogą sobie pozwolić na żadne zbyt wysokie wydatki. Uczą się przeto już za młodu odmawiać sobie niejednego, panować nad sobą i nad swymi żądaniami — a jeżeli sami nie potrafią — uczą ich rodzice i okoliczności. Uczą się zawczasu posłuszeństwa i poszanowania starszych, władzy i prawa.

Wcale nie lepiej dzieje się od czasu, gdy zaniedbano różgi. Radzę wam, rodzice, róbcie z niej w razie potrzeby użytek. Nie dozwólcie, aby dzieci wasze nabrały złych zasad — chrońcie je od trucizny, która się wkrada pod godłem oświaty i wolnomyślności.

Sami także kierujcie się przedewszystkiem zasadami religji chrześcijańskiej i wpajajcie je dzieciom waszym. Wychowujcie je w karności i bojaźni Bożej, a mniej będzie na świecie nieużytych i zwyrodniałych pieszczochów mamusi.

Błogosławieństwo dzieci

— Jakież ono miluchne! a już szóste — mówiła pielęgniarka, kąpiąc nowonarodzone dziecko.

Na obliczu pani Jadwigi, o wyrazie twarzy dziecięcym, zabłysnął błogi uśmiech.

— Wiele dzieci — wiele kłopotów — mówiły sąsiadki, ale pani Jadwiga odpowiadała z uśmiechem: „Wiele dzieci — wiele szczęścia” — wiedziała o tem z doświadczenia: błogosławieństwo Boże spoczywało na tej gromadce dziecięcej! Nie wyniesiono z domu żadnej trumienki, a choć z każdym rokiem coraz ciaśniej było w pokojach, jednak miejsce dla wszystkich się znalazło i wszyscy byli zadowoleni.

Bóg za dużo nie wymaga od ludzi, i pani Jadwiga posiadała ministerjalny genjusz finansowy, któregooby jej niejedno państwo pozazdrościło: pomimo wielkich wydatków na liczną rodzinę, na wszystko wystarczało. Umiała nietylko dobrze liczyć, ale i umiejętnie rozporządzać się dochodami.

I tak rozwijały się dzieci doskonale przy skromnem wyżywieniu, przepędzaniu znacznej części dnia na świeżem powietrzu i wczesnem kładzeniu się do łóżeczka. Wszyscy podziwiali ich

rumiane policzki, a chociaż nie były aniołami, jednak były bardzo układne i miłe.

• • •

Dotychczas wszystko byłoby bardzo dobrze, gdyby nie... Że też to w życiu znajdzie się zawsze jakieś „gdyby”, lub „ale”! I tu, gdyby pan domu dobry gospodarz, pozostał przy życiu, wszystko byłoby w porządku. Ale, że go przedwcześnie śmierć zabrała, rozpoczęły się różne przeciwności. Pani Jadwiga była zmuszona opuścić dotychczasowe mieszkanie i poszukać innego. Okazało się to nie tak łatwem do wykonania. Nanie się nie przydały karty, wystawione na oknach lub bramach domów: „Mieszkanie do wynajęcia”. Gdy tylko na zapytanie: „Czy pani ma dzieci?” nastąpiła odpowiedź: „Sześcioro”, natychmiast kończyła się rozmowa o wynajęciu mieszkania.

Na pytanie dzieci, matka, wróciwszy do domu, potrząsaniem głowy odpowiadała za każdym dniem smutniej, że poszukiwania jej były nadaremne.

Tak smutną, jak dziś, matka jeszcze nigdy nie była. Znalazła śliczne mieszkanie i za możliwą cenę — opisała dzieciom dokładnie, na jakiej ulicy i gdzie się znajduje. „Tu mieszkilibyśmy jak w niebie”, pomyślała. Ale cóż? gdy właścicielka domu usłyszała o błogosławieństwie Bożem, które się w ilości dzieci ujawniło, zawołała: „Na miłość Boską! — zaraz pół tuzina! Nie, droga pani — to niepodobna, coby mój mąż na to powiedział. Żadne prośby i błagania nie pomogły, cho-

ciaż pani sędzina zdawała się być dobrą, pocziwą kobietą.

Pani Jadwiga straciła resztę odwagi — ona, zawsze tak wesoła, teraz przygnębiona zasiadła do stołu. Zmartwiło to szczególnie nastarszego, 8-letniego Karolka. Przytulił się do matki i szepnął jej do ucha: „Nie martw się, mamó, wszystko będzie dobrze”.

* * *

Znowu poszła matka szukać mieszkania z wrokiem zmęczonym i beznadziejnym, a, odchodząc, rzekła do najstarszego synka: „Pilnuj dzieci, Karolku, ja powrócę zapewne dopiero za kilka godzin”.

Niedługo chłopiec siedział spokojnie — wkrótce zerwał się i zaczął szykować rodzeństwo do wymarszu. Dwie starsze dziewczynki same narzuciły swoje płaszczyki, ale dwóch młodszych braciszków i najmłodszą siostrzyczkę sam musiał ubierać.

Nareszcie wszyscy pomaszerowali. Było to pierwsze większe przedsięwzięcie w życiu Karolka.

„Patrzcie na tę procesję!” — śmiali się sąsiedzi, widząc, jak idzie mała gromadka — najmłodszą wioził Karolek w wózku, a 3-letni braciszek dreptał obok niego — Karolek prowadził go za rękę.

Stara pani sędzina siedziała właśnie wygodnie przy czarnej kawie i zjadała ze smakiem kawałek tortu, który jej córka zamężna przysłała, gdy ktoś zadzwonił bardzo ostrożnie. „Ktoby to mógł być?” — pomyślała, a gdy otworzyła drzwi, oczom

jej przedstawiła się gromadka dzieci — jedno o rok młodsze od drugiego. Karolek trzymał najmłodsze dziecko na ręku. „Nic tu nie pobrudzimy” — mówił nieśmiało i spojrzał na starszą panią wzrokiem tak łagodnym i błagalnym, że jej na sercu miło się zrobiło.

— Czego chcecie, dzieci? — zapytała zdziwiona sędzina.

Karolek śmiało jej opowiedział, co miał na sercu, poczynawszy od tego, że ich jest sześcioro, a skończywszy na zmartwieniu matki, której się mieszkanie pani sędziny tak podobało.

„Ale pani sędzina nas nie chce”, przerwała mała Róża, a Karolek zapewniał dalej: „My nie pobrudzimy, będziemy bardzo grzeczni, cicho się będziemy zachowywali, a... jeżeli już zechcemy się sprzeczać, to wyjdziemy na ulicę... jeżeli nas pani przyjmie, będziemy pomagali, ile w naszej mocy: ja mogę już wiadro węgla przynieść po schodach — jestem mocniejszy, niż wyglądam”... — zakończył swą przemowę Karolek.

Nic podobnego nie zdarzyło się dotąd sędzinie — odjęło jej poprostu mowę, gdy ten mały chłopczyk, jak adwokat, popierał sprawę swojej matki. Po chwili jednak dobra pani usadowiła wszystkie dzieci około nakrytego stołu i nakarmiła je mlekiem, kawą i tortem, najmniejsze wzięła nawet na ręce.

— Jedzcie, jedzcie! — zachęcała dzieci, — niech ani okruszyny z tortu, podarku mej córki, nie zostanie.

A teraz idźcie do domu — powiedziała — gdy

jeść skończyły i wsunęła Karolkowi do ręki list do jego matki.

— I, doprawdy, przyjmie nas pani do siebie? — pytał lękliwie Karolek.

Z uśmiechem kiwnęła głową sędzina, poczem cała gromadka ruszyła do domu.

W domu zastali stroskaną matkę.

— Znowu nadaremno, — mówiła strapiona.

Ale Karolek ukłonił się z powagą i rzekł z godnością:

— Bądź spokojna, mamó. Ja już wynająłem mieszkanie dla nas, a oto i list od tej dobrej pani. Ona nawet trzymała Basię na ręku i sama ją karmiła.

— A jakim smacznym tortem nas poczęstowała! I ani trochę się nie gniewała... — i tak dalej i długo jeszcze opowiadał — usta mu się nie zamykały...

Źródło zła

Przed paru tygodniami odwiedziłem chorą krewną, która mieszka niedaleko miasta Z. i już od kilku lat przykuta jest do łoża. O godz. 3-ciej pożegnałem się z nią i wracałem piechotą na dworzec.

Na nieszczęście zbłądziłem nieco i z tego powodu spóźniłem się na pociąg. Przyszło mi czekać aż do nocy. Poszedłem tymczasem do kościoła — była to niedziela — a potem przypomniałem sobie, że mam w mieście znajomych, których mógłbym odwiedzić. Wkrótce stałem już przed ich domem, znajdującym się przy jednej z głównych ulic miasta. Co powie pani Hortensja na moją wizytę? Czy pozna mię? 15 lat już nie widzieliśmy się. Była wtedy jeszcze panną, wesłała, trochę lekkomyślną. Czy się teraz zmieniła, jako żona i matka?

Zastałem ją w domu, widziałem jej dzieci, przypatrzyłem się urządzeniu ich mieszkania. Ale nie powiem aby te odwiedziny zrobiły na mnie przyjemne wrażenie. Była to rodzina, której stan majątkowy nie przedstawiał nic do życzenia, ale mająca wiele braków. Nie było w niej tej harmonji, którą wytwarza tylko żywa wiara. Niema

prawdziwego szczęścia, gdzie nie dopisuje ten główny warunek pojednawczy, który rodzinę łączy i uświęca. Po krótkiej rozmowie musiałem dojść do tego przekonania.

Pani Hortensja była sama. Męża nie było już od kilku dni w domu. Nie wiedziała, ani dokąd pojechał, ani za jakim interesem. „To się często zdarza”, mówiła obojętnie. „Ale i ja mu się odwzajemniam. Często wyjeżdżam do rodziców, nie mówiąc mu o tem. Gdy on wraca, nie zastaje mnie w domu. U nas to tak: każdy robi, co mu się podoba — tak najlepiej”.

Oczywiście szczęście w rodzinie i spokój jak również wychowanie dzieci muszą w takich warunkach wiele ucierpieć.

Zaraz to spostrzegłem, bo oto nagle przeraźliwy krzyk dziecka przerwał naszą rozmowę. „Co by to mogło być?” — zawołała pani domu. „Pewnie dzieciom się coś stało”. Wyszła pośpiesznie, a ja za nią, aby dopomóc w razie potrzeby. Okazało się, że starszy, silny chłopiec bił młodszego, a dwie małe siostrzyczki napróżno starały się go ochronić. Krzyk i hałas wzmagaly się. Starszy brat, chociaż widział, że matka nadchodzi, nie przestał bić młodszego — matka musiała go wyrwać z jego rąk. „Czy cię nie wstyd?” — powiedziała i chciała go uderzyć, ale on odskoczył i roześmiał się: „On na to zasłużył!” — zawołał zuchwale. A młodszy jęczał: „Ach moja głowa! moje ramię!” „Czy cię nie wstyd bić tak młodszego brata?” — powtórzyła znowu matka. „Idź zaraz do swego pokoju!” Chłopiec roześmiał się tyl-

ko i wybiegł na ulicę. Matka nie zdawała się być bardzo zmartwioną lub zagniewaną: „Tak on zawsze robi!” — zwróciła się do mnie. „Nie mogę sobie dać z nim rady. Niech idzie”. „Ja się zemszczę. Wiem już, co zrobić, aby mu dokuczyć i rozgniewać go” — wołał przez łyzy młodszy braciszek. „Uważaj, aby cię nie zbił znowu”, odrzekła matka, odchodząc.

Mnie to wszystko bardzo oburzało. „Zawsze mówią o radościach matki”, mówiła do mnie pani Hortensja, gdy wróciliśmy do gościnnego pokoju. „Chyba gdzieindziej muszę szukać tej radości, bo od dzieci jej nie zaznam”. Spytałem, czy nie próbowała wpływać na dzieci za pomocą religji. Przecież w sercu dziecka Bóg mieszka. Dziecko ma do religji wrodzony pociąg, który oddziaływa bardzo na jego duszyczkę. Tylko jedna jest potęga, która jest w stanie poprawiać złe dzieci: moc wiary, religji.

Pani Hortensja patrzała na mnie, jakby nie rozumiejąc, co mówię. Widać było, że różnimy się ogromnie w przekonaniach naszych. „Tak mówią — lecz wiem, co o tem sądzić” — odrzekła z lekceważeniem.

Obserwowałem potem jak troje młodszych dzieci kładło się do snu — matka ucałowała je, poklepała je po twarzy i — na tem koniec. Żał mi się zrobiło tych maleństw, gdy widziałem, że matka nie złożyła ich rączek do modlitwy, nie uklękła z nimi razem. Nie usłyszały błogosławieństwa z ust matki, nie przeżegnała ich przed udaniem się na spoczynek. Wszystko to było takie jakies

chłodne — bez serdeczniejszego uczucia. A jak to pięknie, gdy matka nachyla się nad łóżeczkiem dziecka i każdemu ma coś do powiedzenia: jakieś dobre słówko, jakieś napomnienie, jakąś zachętę. Wiele można zdziałać w takich chwilach, gdy serce dziecka usposobione jest do przyjęcia dobrych rad i zachęty do dobrego!

Gdy wracałem do domu, ciągle myślałem o tych biednych dzieciach. Cóż dziwnego, że przy takim wychowaniu zdziczeją, staną się harde, nieposłuszne, i rodzice nie mogą dać sobie z nimi rady.

Niedawno czytałem książkę pod tytułem: „Drogo do Boga”. Autor opisuje swoje własne życie. Smutny jest rozdział o jego dzieciństwie i młodości. Rodzice jego, choć katolicy, nigdy nie chodzili do kościoła, nigdy się nie modlili. Z tego powodu nie było ciepła, ani prawdziwego szczęścia w rodzinie. Rodzeństwo było względem siebie obojętne, podobnie jak rodzice. Każdy szedł swoją drogą i żył własnem wewnętrznem życiem, o którym inni nie wiedzieli. Opowiada dalej autor, że nigdy nie usłyszał serdeczniejszego słowa z ust matki. Nie otrzymał żadnej uwagi, żadnej wskazówki, gdy opuszczał dom rodzinny. Toteż nie miał żadnego oparcia, ani celu i grzął w materlalizmie. Ale łaska Boża, która nikogo nie opuszcza, przypadła i jemu w udziale. Po długiem szukaniu i błakaniu się w ciemnościach, powrócił do wiary. Szczęśliwy! Ale wielu jest takich, którzy Boga nie znajdują i pędzą nędzne życie, a to dlatego, że nie zaznali błogosławieństwa prawdzi-

wie chrześcijańskiej rodziny, gdzie matka zaniedbywała najświętszy swój obowiązek i dopuściła do upadku dusz jej pieczy powierzonych.

Tenże autor tak pisze: Obojętność w religii rozluźnia rodzinę, jest początkiem rozstroju życia rodzinnego, a co za tem idzie, całego państwa i społeczeństwa; przedewszystkiem zanika moralność, budzi się ogólne niezadowolenie, prowadzi do rewolucji.

Matka, która zaniedbuje modlić się z dziećmi, traci wszelkie podstawy i wszelką powagę, sama kieruje się kaprysem i zaspakajaniem swoich zachcianek. A dzieci prędko spostrzegają wszystkie braki i słabości swoich wychowawców, którzy tracą wskutek tego u powierzonych sobie dzieci wszelką powagę i szacunek. Dzieci zaczynają ich krytykować — pisklę staje się mądrzejsze od kury.

„Syn — córka — nie chcą mię słuchać!” — często słyszymy takie skargi z ust matki. A dlaczego? Zawsze główną przyczyną jest brak prawdziwie religijnego wychowania, a następstwem tego — niezachowanie czwartego przykazania.

Dzieci mają swoje obowiązki, ale też mają je i rodzice, a przedewszystkiem jest to zachowanie przykazań — miłości Boga i bliźniego.

SPIS RZECZY

Str.

I.

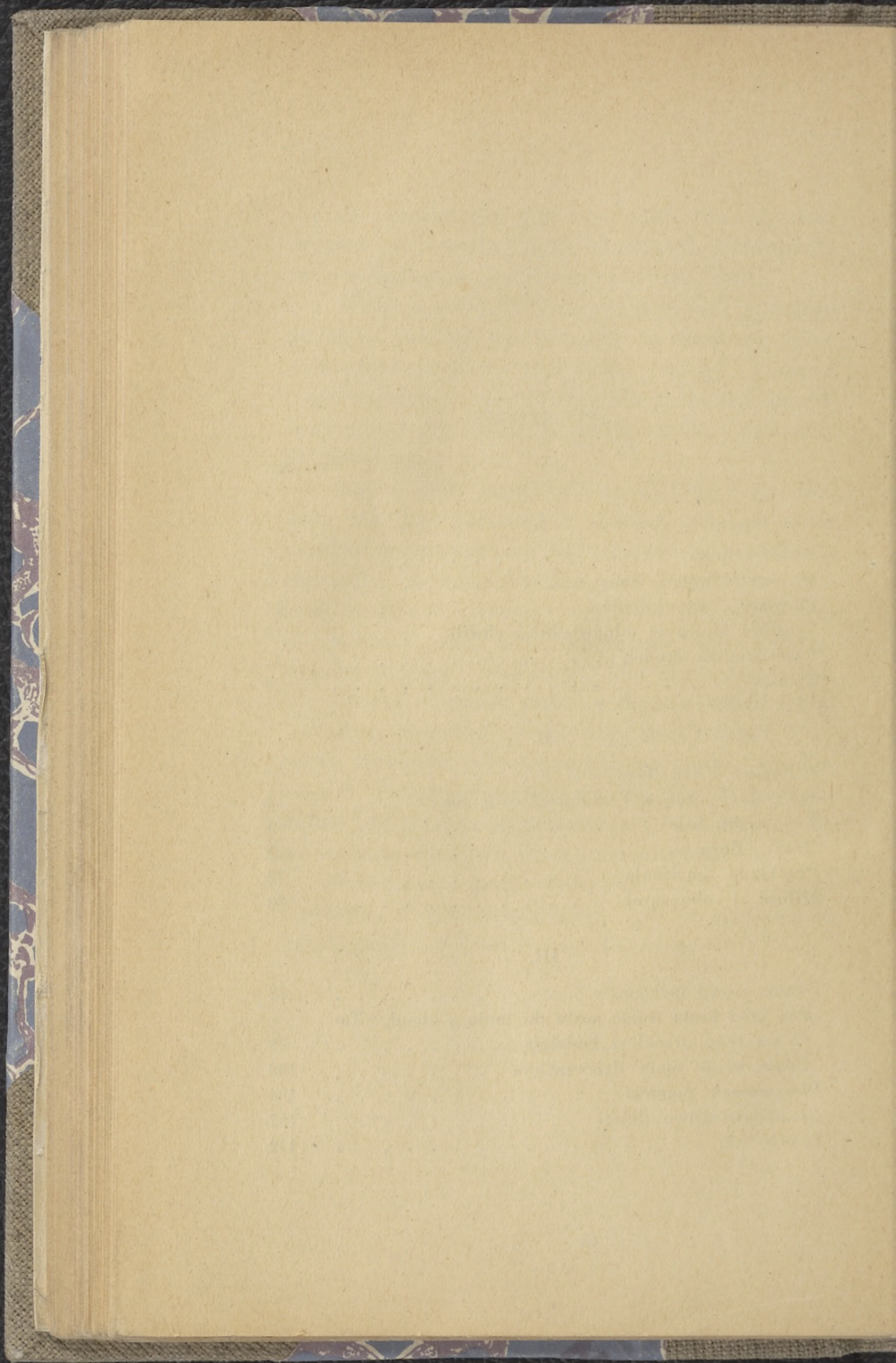
Do czytelnika	5
W poszukiwaniu żony	9
Pierwsze przewinienie	14
Życzliwe słowo w odpowiedniej chwili	18
Czarodziejski środek	21
Zemsta	28

II.

Z Bogiem i bez Boga	53
Jak Paweł Szewczyk wyleczył swą żonę	58
Gdy zegar bije	66
Drogi Boże	71
Przykłady pociągają	78
Miłość i obowiązek	80

III.

Dżuma wśród małżeństw	87
Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi. Te- raz tedy przeklęty będziesz	96
„Gdzie twoja mała dziewczynka”	100
Pieszczoszek mamusi	104
Błogosławieństwo dzieci	107
Źródło zła	112



TEGOŻ AUTORA:

Ku wyżynom świętości.

Słowa zachęty dla ludzi dobrej woli

Złote myśli, podane tu na kilkudziesięciu stronicach wyjaśniają nam, na czym świętość polega i wskazują drogę do tej świętości, dostępnej dla każdego, to jest dobrą wolę.

Str. 52, cena 40 groszy.

Więcej ufności

Książeczka na czasie. Wskazuje nam nieskończoną dobroć, miłość i miłosierdzie Boga. Jest kojącym lekarstwem dla dusz strwożonych. Uspokaja je co do życia przeszłego, teraźniejszego i przyszłego.

Str. 53, cena 40 groszy.

Panie Ty wiesz, że Cię miłuję

Istota Boga — to miłość. Miłość jest główną cechą twórczości Bożej, a cały wszechświat, szczególnie człowiek, ma być wyrazem Jego odwiecznej miłości. — Wsłuchać się w tę tajemnicę Boga, Jego myśl lepiej zrozumieć, dopomaga nam właśnie niniejsza broszurka.

Str. 80, cena 60 groszy.

Jak pracować nad sobą

Kto pragnie postępować w cnocie i udoskonalić się — jednym słowem, stać się lepszym, znajdzie w tej broszurce odpowiednie wskazówki.

Str. 52, cena 40 groszy.

Róże św. Teresy od Dzieciątka Jezus

365 krótkich rozmyślań na wszystkie dni roku. Składają się one ze zdań — istnych pereł myśli — zaczerpniętych z listów i notatek „Małej Świętej”. Liczne ilustracje.

Str. 226, cena 2.50 zł.

OSTATNIO WYSZŁY Z DRUKU :

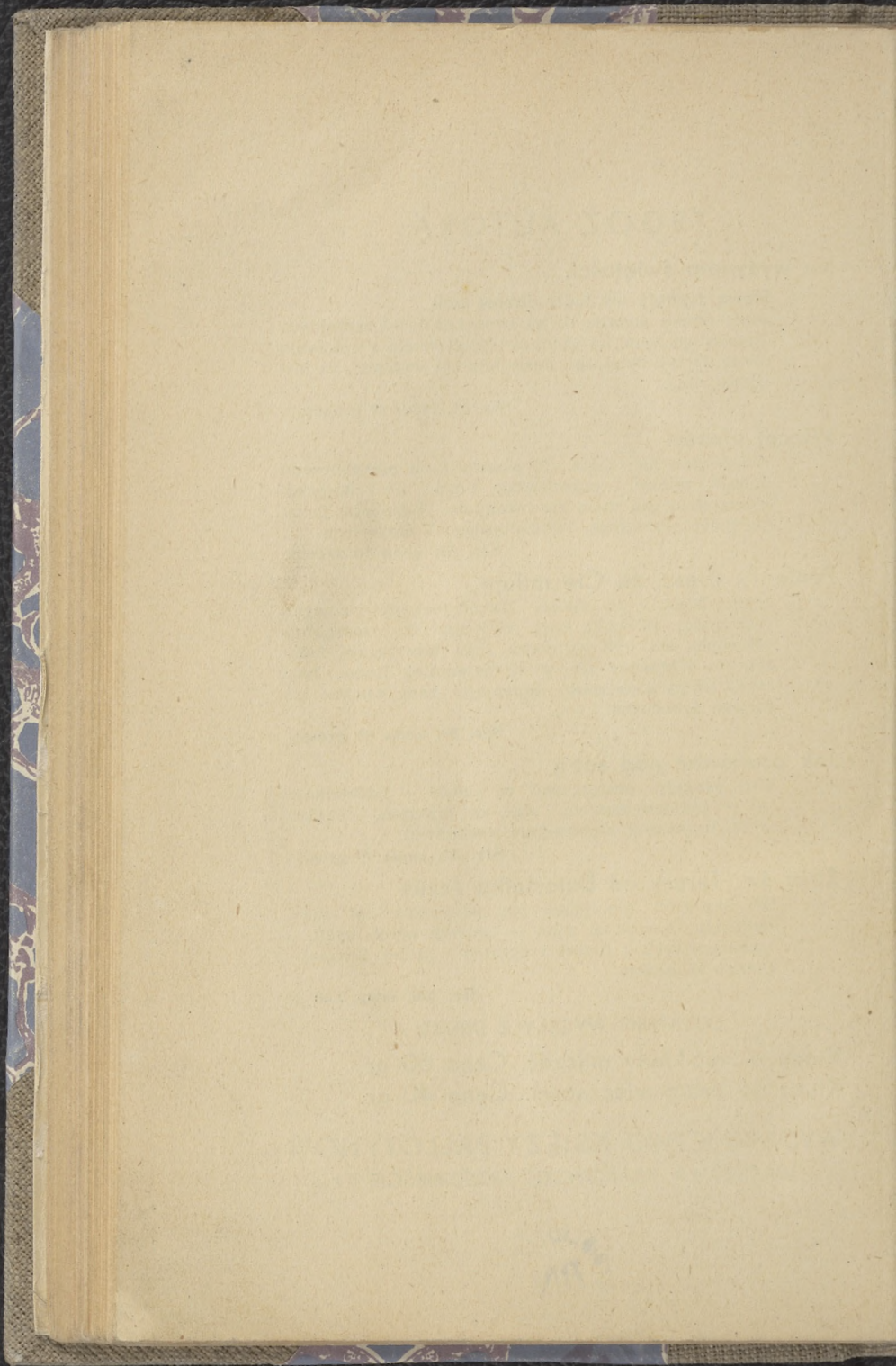
Kiedy mówić-kiedy milczeć. Cena 60 gr.

Klucz do bram wieczności. Cena 40 gr.

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71





Antykw. Nauk. D.k
Kraków 28. IV. 48
-242-

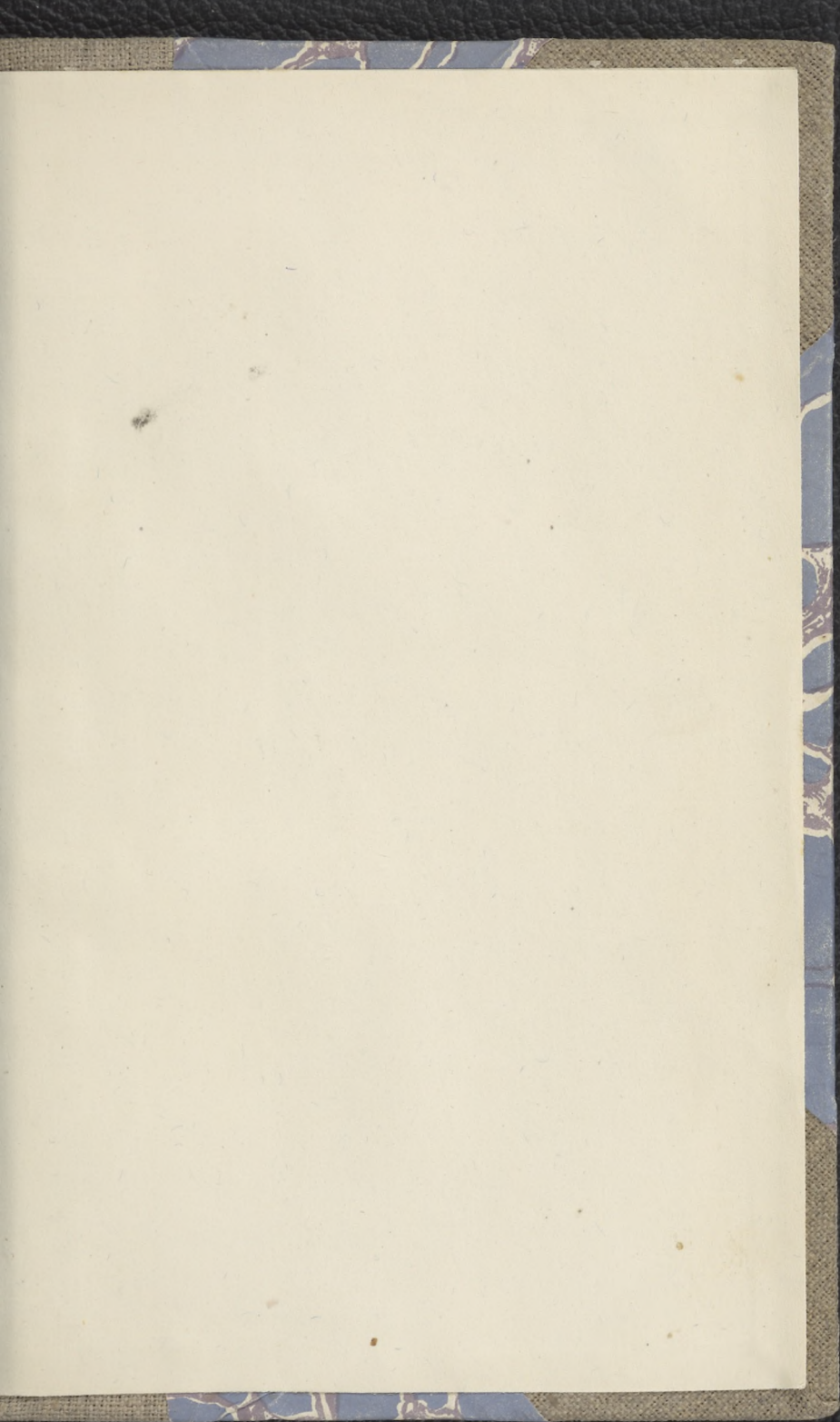
24

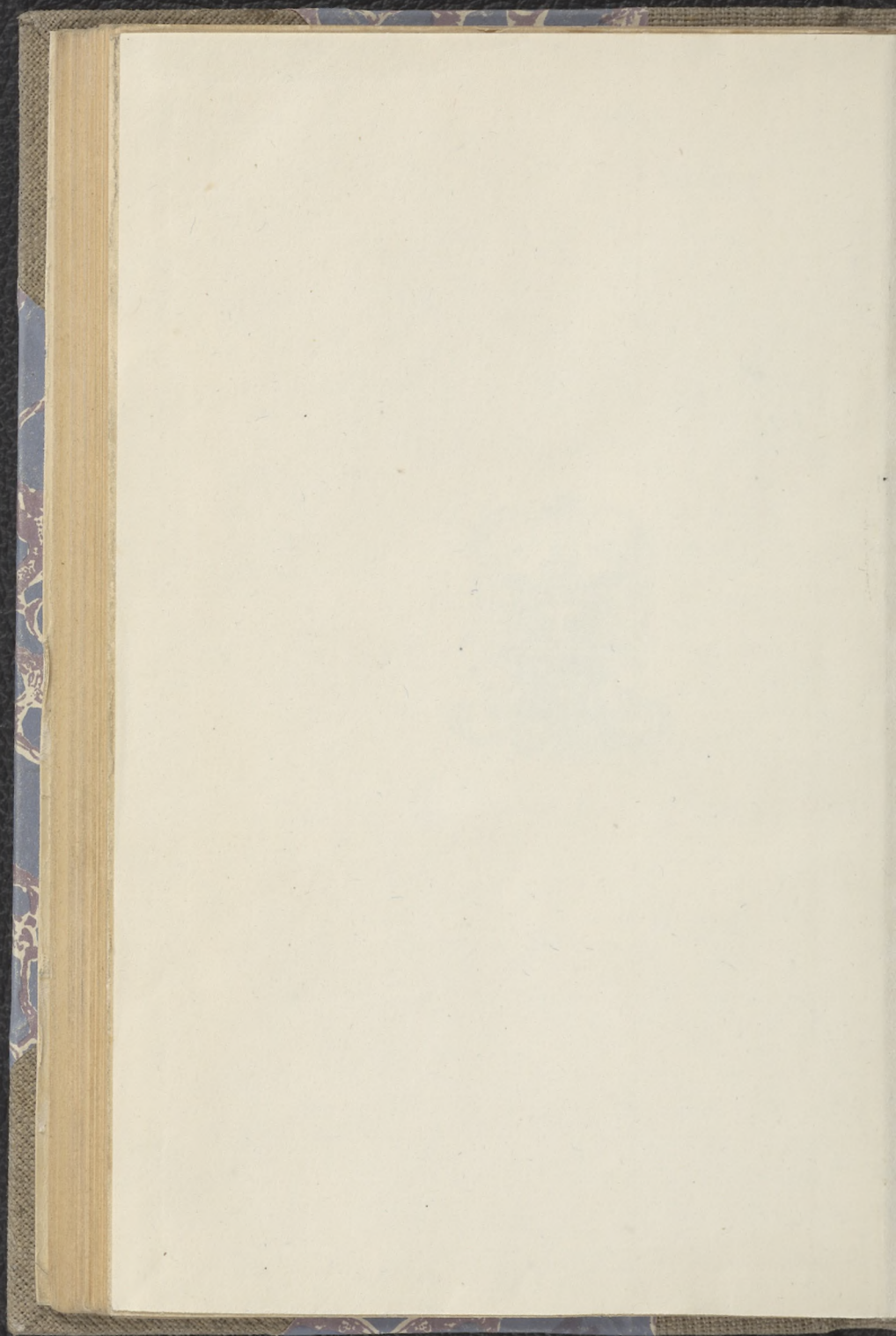
30W

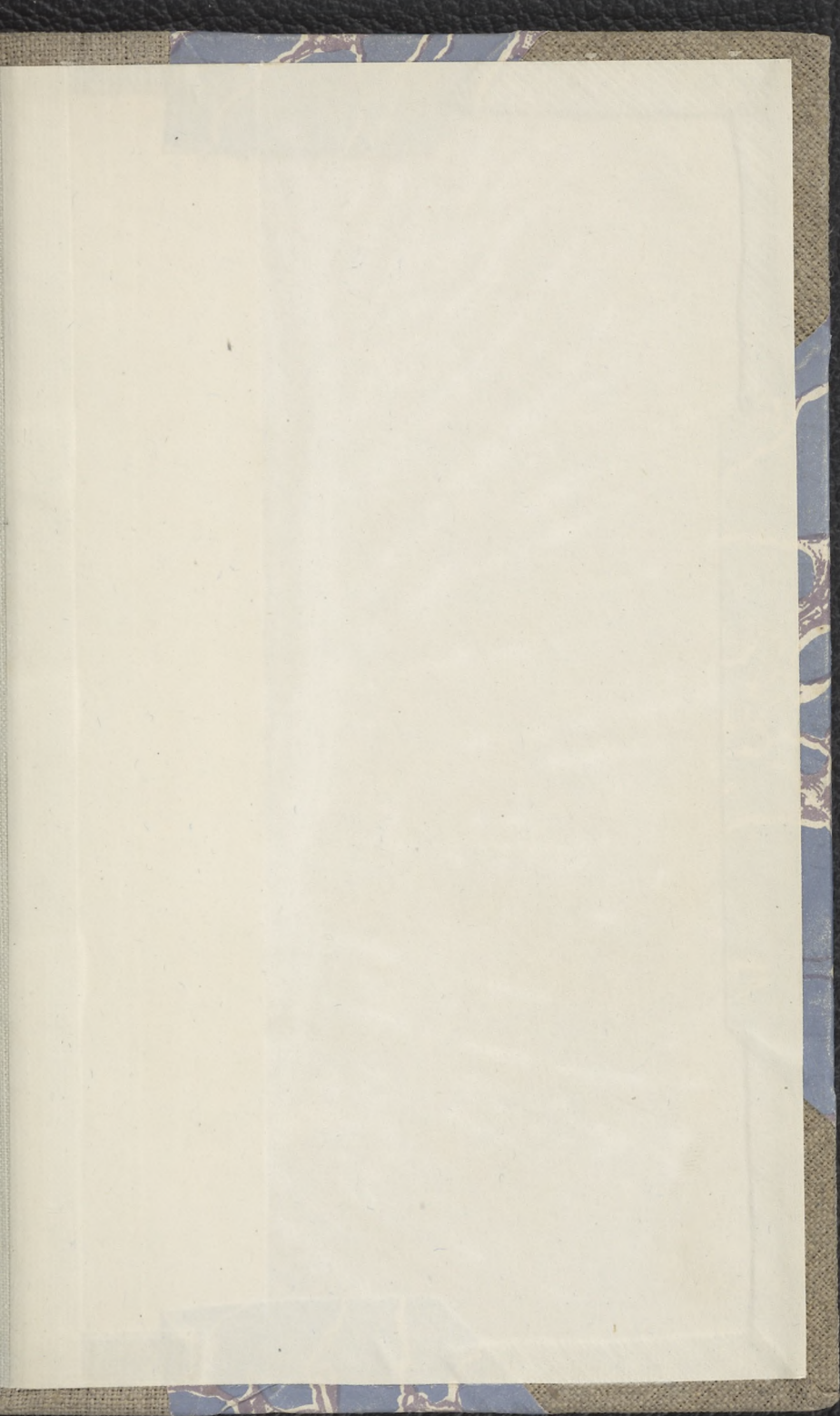
P11619



3K









899787

BN